

Oliver Bowden

Assassin's Creed 07

Pojednanie

Wyjątek z diariusza Arna Dorigana

12 września 1794

Na biurku przede mną leży jej pamiętnik, otwarty na pierwszej stronie. Tylko tyle zdołałem przeczytać, zanim fala uczuć zaparła mi dech w piersiach, a litery stały się jakby widziane przez brylant. Na jej wspomnienie po moich policzkach spłynęły łzy... Przywołuję z pamięci psotne dziecko bawiące się w chowanego, buntowniczkę, którą poznałem i pokochałem jako dorosły, piękność o rudych lokach opadających na ramiona i przenikliwych oczach spoglądających spod ciemnych, gęstych rzęs. Poruszała się z gracją wytrawnej tancerki i mistrzyni fechtunku. Czuła się równie dobrze, unosząc się nad parkietami pałacowych sal pod pożądliwymi spojrzzeniami wszystkich obecnych tam mężczyzn jak w walce na śmierć i życie.

Ale te piękne oczy skrywały swoje tajemnice. Sekrety, które wnet miałem poznać. Na powrót podnoszę jej diariusz, pragnąc umieścić dłoń i opuszki palców na jego kartach, pieścić słowa, poczuć zaklętą w papierze część jej duszy.

Zaczynam czytać.

Wyjątki z diariusza Élise de La Serre

9 kwietnia 1778

Nazywam się Élise de La Serre. Mój ojciec to François, matka zaś – Julie. Mieszkamy w Wersalu: rozświetlonym, pięknym Wersalu, gdzie w cieniu wielkiego pałacu stoją schludne gmachy i wspaniałe rezydencje, wśród alejek biegnących szpalerami lip, wśród migotliwych stawów i fontann, wśród fantazyjnie przystrzyżonych krzewów.

Jesteśmy arystokracją. Wybrańcami losu. Uprzywilejowanymi. Aby się o tym przekonać, wystarczy nam udać się do oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów Paryża. Drogę tam biegnącą oświetlają naftowe lampy, bo w Wersalu takich właśnie używamy, ale paryska biedota przyświeca sobie łożowymi świecami, a dym z wytwórni łożu wisi nad miastem niczym śmiertelny całun, osiada na skórze i zalepia płuca. Biedacy w łachmanach, zgarbieni pod brzemieniem dźwiganych ciężarów albo trosk, snują się po ulicach, na których nigdy zdaje się nie gościć światło. Rynsztokami płynie błoto i ludzkie odchody; maź lepi się do nóg tragarzy niosących nasze lekytki, z których oglądamy to wszystko szeroko otwartymi oczami.

Później, wracając do Wersalu złoconymi karocami, mijamy na polach postacie spowite w mgłę niczym duchy. Bosonodzy wieśniacy pracują na ziemi moźnych i głodują, jeśli zbiory nie dopiszą; niewiele różni ich od niewolników. W domu słucham opowieści rodziców o tym, jak chłopci nie śpią nocami, przeganiając kijami żaby, których rechotanie budzi panów ze snu; jak muszą jeść trawę, żeby nie skonać z głodu; jak możni są zwolnieni z podatków, zwolnieni ze służby wojskowej, z upokarzającego obowiązku *corvée*, niepłatnego dnia pracy przy utrzymaniu publicznych dróg.

Rodzice mówią, że królowa Maria Antonina przechadza się po salach balowych, korytarzach i westybulach pałacu, wymyślając, na jakie suknie tym razem wydać majątek, a jej mąż, król Ludwik XVI, rozparty w swoim *lit je justice*, ustanawia prawa, które ułatwiają życie arystokracji kosztem głodującej biedoty. Z ponurymi obliczami przepowiadają, że może z tego wyniknąć nawet rewolucja.

Mój ojciec miał grupę zaufanych. Panów Chretien'a Lafrenière'a, Louisa-Michela Le Peletiera, Charles'a Gabriela Siverta i *madame* Levesque. Ponieważ nosili długie czarne płaszcze i ciemne filcowe kapelusze, a ich oczy nigdy się nie uśmiechały, nazywałam ich

krukami.

– Czy Croquants niczego nas nie nauczyli? – mawia moja matka.

Oczywiście opowiadała mi o Croquants, chłopskiej rewolcie sprzed dwustu lat.

– Najwyraźniej nie, Julie – odpowiada ojciec.

Istnieje określenie na chwilę, w której nagle coś pojmujesz. Nazywa się to olśnieniem. Będąc małym dzieckiem, nigdy nie zadawałam sobie pytania, dlaczego uczę się historii, a nie etykiety, manier i elegancji. Nie pytałam, czemu matka dołączała do ojca i kruków po kolacji, podnosząc głos w sporze, jaki zarysował się w trakcie dyskusji, z taką samą siłą jak oni; nie zastanawiałam się, dlaczego nie jeździła konno w damskim siodle ani dlaczego nigdy nie potrzebowała stajennego, żeby zapanować nad swoim wierzchowcem. Nie dziwiło mnie, że nie obchodziła jej moda ani dworskie plotki. Ani razu nie przyszło mi do głowy zapytać, dlaczego moja matka jest inna od wszystkich innych matek.

Dopóki mnie nie olśniło.

Była piękna, rzecz jasna, i zawsze dobrze ubrana, choć nie považowała zbyt strojów noszonych przez damy na dworze, o których wyrażała się z dezaprobatą, ściągając usta.

Twierdziła, że nadmiernie pochłania je własny wygląd, status i posiadanie różnych rzeczy.

– W ich głowach nigdy nie zagościła żadna własna myśl, Élise. Obiecuj mi, że nigdy nie staniesz się taka jak one.

Zaintrygowało mnie to. Chcąc się dowiedzieć więcej o tym, jaka nie powinnam się stać, pomiędzy fałd matczynej sukni zaczęłam obserwować te znieawidzone kobiety. I ujrzałam pudernice, udające wierność i oddanie swoim mężom, choć bezustannie wypatrujące znad wachlarzy nieświadomych niczego kochanków do usidlenia. Niewidzialna dla nich zaglądałam za te maski z pudru, gdy pogardliwy śmiech gasł na ich ustach, a z oczu zniknęła kpina, i widziałam ich prawdziwe oblicza – pełne lęku, że wypadną z łask, że stracą swoje pozycje w hierarchii społecznej.

Matka była zupełnie inna. Po pierwsze, zupełnie nie obchodziły ją plotki. Nigdy też nie widziałam jej z wachlarzem, nie znosiła pudru, gardziła antracytowymi pieprzykami i alabastrową cerą. Jej jedynym ustępstwem na rzecz mody były buty. Poza tym jednak o swój wygląd dbała tylko z jednego powodu: dla zachowania pozorów.

Była też całkowicie oddana mojemu ojcu. Stała przy nim – ale u jego boku, nigdy za nim – wspierała go, była wobec niego bezgranicznie lojalna i zawsze popierała go przy ludziach, choć słyszałam nieraz, jak kłócili się za zamkniętymi drzwiami i jak musiała go uspokajać.

Ostatni raz jednak kłócili się bardzo dawno. Mówią, że dziś wieczór może umrzeć.

10 kwietnia 1778

Przeżyła tamtą noc.

Siedziałam obok niej, trzymałam ją za rękę i mówiłam do niej. Przez jakiś czas miałam złudne wrażenie, że to ja podtrzymuję ją na duchu, dopóki nie odwróciła się i nie popatrzyła na mnie zamglonymi, lecz mądrymi oczami; wtedy stało się jasne, że jest odwrotnie.

Kilka razy w nocy wyglądałam przez okno i widziałam w dole na dziedzińcu Arna, zazdroszcząc mu nieświadomości cierpienia przeżywanego zaledwie kilka kroków od niego. Arno oczywiście wie, że matka jest chora, ale suchoty to powszechna choroba, a śmierć mimo starań lekarzy zdarza się codziennie, nawet tu, w Wersalu. Poza tym Arno nie jest de La Serre'em. Jest naszym podopiecznym i jako taki nie jest wtajemniczony w najgłębsze, najmroczniejsze sekrety ani dopuszczany do osobistych cierpień. Co więcej, nie pamięta prawie mojej matki w innych okolicznościach. Przez większość czasu, jaki Arno u nas spędził, była dla niego nieobecną postacią obsługiwaną na piętrze rezydencji; nie kojarzy jej z niczym prócz choroby.

Dzielę więc swoje cierpienie tylko z ojcem, przekazujemy je sobie ukradkowymi spojrzeciami. Na zewnątrz staramy się zachować pozory normalności; naszą żalobę stępiły dwa lata ponurych diagnoz. Ten smutek to jedna z tajemnic, które skrywamy przed naszym wychowankiem.

Jesteśmy coraz bliżej chwili olśnienia. Wracając myślą do tamtego pierwszego incydentu, pierwszego razu, kiedy zaczęłam się naprawdę zastanawiać, kim są moi rodzice, a zwłaszcza matka, wyobrażam go sobie jako drogowskaz przy ścieżce prowadzącej do mojego przeznaczenia.

Miało to miejsce w klasztorze. Miałam zaledwie pięć lat, kiedy tam trafiłam, i moje wspomnienia z tego czasu nie są bynajmniej w pełni ukształtowane. To właściwie tylko niepowiązane obrazy: długie rzędy łóżek, wyraźne, ale jakby oderwane wspomnienie oglądania przez pokryte szronem okno wierzchołków drzew, wystających ze skłębionej mgły; oraz... matka przełożona.

Zgarbiona i zgorzkniała, słyęła ze swojego okrucieństwa. Przechadzała się po klasztornych korytarzach z trzcina trzymaną przed sobą w obu dłoniach, jakby chciała wręczyć ją komuś jako podarek. W jej pokoju trzcina leżała na biurku. Mówiliśmy wtedy, że przysła „twoja kolej”; i przez jakiś czas kolej była moja, kiedy matka przełożona skupiła swoją niechęć na moim szczęściu, nie mogąc znieść faktu, że łatwo wybuchałam śmiechem, i mój wesoły uśmiech zawsze nazywając bezczelnym. Tą trzcina, mawiała, zetrze mi ten bezczelny uśmieszek z twarzy.

Miała rację. Starła. Na krótko.

Potem któregoś dnia matka i ojciec przyjechali zobaczyć się z nią w jakiejś sprawie – nie mam pojęcia jakiej – i na ich żądanie zostałam wezwana do gabinetu. Zostałam ich tam czekających na mnie w fotelach. Matka przełożona stała za biurkiem, jak zwykle z grymasem nieskrywanej pogardy na twarzy, z ledwie zastygłą na ustach szczerą oceną moich licznych wad.

Gdyby odwiedziła mnie sama matka, nie zachowywałabym się tak oficjalnie.

Pobiegłabym do niej z nadzieją, że będę mogła się skryć w fałdach jej sukni i uciec z tego okropnego miejsca do innego świata. Ale przyjechali oboje, a mój ojciec był dla mnie królem. To on dyktował, jakich zasad grzeczności należy przestrzegać; to on nalegał, żeby wysłać mnie do klasztoru. Dlatego zbliżyłam się do nich, dygnęłam i czekałam, aż zostaną o coś zapytana.

Matka chwyciła mnie za rękę. Nie mam pojęcia, jak zobaczyła, co tam jest, ponieważ dłoń trzymałam przy boku, ale jakimś cudem dostrzegła ślady po trzcinie.

– Co to jest? – zapytała surowym tonem matkę przełożoną, pokazując jej moją rękę. Nigdy nie widziałam starej zakonnicy tracącej panowanie nad sobą, teraz jednak pobladła.

Moja matka w jednej chwili przeobraziła się z osoby grzecznej i układnej, czego należało oczekiwać od gościa przełożonej klasztoru, w instrument potencjalnego gniewu. Wszyscy to poczuliśmy, zakonnica najbardziej.

– Jak już mówiłam – zająknęła się – Élise to dziewczę psotne i nieposłuszne.

– A więc jest bita? – spytała matka z narastającą złością. Matka przełożona wyprostowała się.

– A jak inaczej mam tu utrzymać porządek? Moja matka chwyciła z biurka trzcinę.

– Oczekuję, że będzie matka zdolna go utrzymać. Uważa matka, że to ją czyni silną? – Sieknęła trzcina o biurko. Zakonnica drgnęła, przełknęła ślinę i zerknęła na ojca, który przyglądał się temu wszystkiemu z dziwną, nieprzeniknioną miną, jakby te wydarzenia nie wymagały jego udziału. – W takim razie jest matka w wielkim błędzie – ciągnęła. – To czyni

matkę słabą.

Wstała, nie spuszczać z zakonnicy gniewnego spojrzenia, i przestraszyła ją jeszcze raz, znów uderzając trzcina o biurko. Potem wzięła mnie za rękę.

– Chodź, Élise.

Opuściliśmy klasztor i od tamtej pory lekcje dawali mi najęci nauczyciele w domu.

Kiedy wyszliśmy stamtąd w pośpiechu, wsiedliśmy do powozu i wróciliśmy do Wersalu w milczeniu nabrzmiałym niewypowiedzianymi słowami, wiedziałam jedno – że damy się tak nie zachowują. A przynajmniej nie te zwykłe.

Kolejna wskazówka. Ta miała miejsce jakiś rok później na urodzinowym przyjęciu rozpuszczonej dziewczynki w sąsiedniej rezydencji. Inne dziewczynki w moim wieku bawiły się lalkami, urządzały im herbatki, ale bez prawdziwej herbaty i ciastek. Małe dziewczynki udawały po prostu, że karmią lalki ciastkami i poją je herbatą, co już wtedy wydawało mi się głupotą.

Nieopodal chłopcy bawili się żołnierzami, poszłam więc bawić się z nimi, nieświadoma pełnej zgorszenia ciszy, jaka zapanowała.

Moja niania Ruth odciągnęła mnie od nich.

– Baw się lalkami, Élise – powiedziała stanowczo, ale ze zdenerwowaniem, kuląc się pod pełnymi dezaprobaty spojrzeniami innych opiekunek. Zrobiłam, co mi kazała, przykucnęłam i udawałam zainteresowanie herbatką na niby. Zawstydzający epizod minął i wszystko wróciło do naturalnego stanu: chłopcy bawili się żołnierzami, dziewczynki – lalkami, nianki pilnowały wszystkich razem, a nieopodal grupka matek, wysoko urodzonych dam, plotkowała na ogrodowych fotelach z kutego żelaza.

Popatrzyłam na nie i ujrzałam je oczami matki. Zobaczyłam własną drogę od dziewczynki siedzącej w trawie do plotkującej damy dworu i w przyptywie całkowitej pewności zrozumiałam, że tego nie chcę. Nie chcę być taka jak one. Chcę być taka jak moja matka, która przeprosiła pozostałe i stała w oddali, sama, nad wodą, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, kim jest.

Dostałam liścik od pana Weatheralla. Pisząc w swoim ojczystym angielskim, informuje, że chciałby zobaczyć się z matką, i prosi, abym spotkała się z nim o północy w bibliotece, by zaprowadzić go do jej pokoju. Zaklina, żebym nie mówiła o niczym ojcu.

Oto kolejna tajemnica, której muszę dochować. Czasami czuję się jak jeden z tych nieszczęśników widywanych w Paryżu, zgarbiona pod ciężarem żywionych wobec mnie oczekiwania.

Mam zaledwie dziesięć lat.

11 kwietnia 1778

O północy naciągnęłam suknię, wzięłam świecę i po cichu zesłam na dół, do biblioteki, by zaczekać tam na pana Weatheralla.

Zjawił się niezapowiedziany, bezszelestnie niczym duch, nie budząc nawet psów. Wszedł do biblioteki tak cicho, że nie usłyszałam skrzypienia otwieranych i zamykanych drzwi. Kilkoma szybkimi krokami zbliżył się, zerwał z głowy perukę, której nie znosił, i chwycił mnie za ramiona.

– Mówią, że szybko gaśnie – powiedział i słychać było, że pragnie, by to była tylko plotka.

– To prawda – odparłam, spuszcżając wzrok.

Zamknął oczy i choć nie był wcale stary – miał ponad czterdzieści lat, nieco tylko więcej niż matka i ojciec – to każdy rok odcisnął swe piętno na jego twarzy.

„Pan Weatherall i ja byliśmy sobie dawniej bardzo bliscy” – powiedziała mi kiedyś matka. Uśmiechnęła się przy tym i wyobrażam sobie, że także nieco się zarumieniła.

Poznałam pana Weatheralla w mroźny lutowy dzień. To była pierwsza z naprawdę ciężkich zim, ale choć w Paryżu zamarzła Sekwana, a nędzarze umierali na ulicach, w Wersalu sprawy miały się zupełnie inaczej. Zanim się budziliśmy, służba rozpaliała huczący ogień w paleniskach. Jedliśmy gorące śniadanie, a potem otuleni w futra, z dłońmi skrytymi w ciepłych mufkach przechadzaliśmy się po naszych posiadłościach.

Tego akurat dnia świeciło słońce, choć nie zmniejszało to nijak przejmującego do szpiku kości chłodu. Na grubej warstwie śniegu skrzył się pięknie lód tak twardy, że Czochraj, nasz wilczarz irlandzki, mógł po nim biegać, nie zapadając się. Zrobił kilka ostrożnych kroków, a potem, uświadomiwszy sobie, jakie ma szczęście, zaszczekał radośnie i popędził przed siebie. Ja i matka szłyśmy w kierunku drzew na skraju południowego trawnika.

Trzymając ją za rękę, obejrzałam się do tyłu. Nasza rezydencja jaśniała w refleksach słońca i śniegu, mrugała oknami, a gdy weszłyśmy między drzewa, stała się niewyraźna, jakby pocieniowana ołówkiem. Zrozumiałam, że zaszłyśmy dalej niż zwykle, że oddaliłyśmy

się od bezpiecznego schronienia.

– Nie przestrasz się, jeśli zobaczysz pewnego pana skrytego w cieniu – powiedziała matka, lekko się do mnie nachylając. Mówiła cichym głosem. Ścisnęłam mocniej jej rękę, a ona się roześmiała. – Nasza obecność tu nie jest przypadkiem.

Miałam wtedy sześć lat i nie śniło mi się nawet, że spotkanie damy z jakimś mężczyzną w takich okolicznościach może mieć jakieś „implikacje”. Z mojego punktu widzenia takie spotkanie miało nie większe znaczenie niż rozmowa matki z Emanuelem, naszym ogrodnikiem, czy pogawędka z Jeanem, stangretem.

Mróż sprawia, że świat pogrąża się w bezruchu. Wśród drzew było nawet ciszej niż na pokrytym śniegiem trawniku. Pochłonięte przez wszechogarniający spokój, wąską ścieżką ruszyliśmy w głąb lasu.

– Pan Weatherall lubi pewną zabawę – powiedziała matka, ścisząc głos z szacunku dla otaczającego nas spokoju. – Może chce nas zaskoczyć, a niespodzianek zawsze trzeba się strzec. Należy się rozglądać i wiedzieć, czego się spodziewać. Widzisz jakieś ślady?

Śnieg wokół nas był nietknięty.

– Nie, mamó.

– Dobrze. Możemy więc mieć pewność co do najbliższej okolicy. A gdzie w takiej sytuacji mógłby się ktoś schować?

– Za drzewem?

– Dobrze, dobrze... A tam? – wskazała w górę. Wyciągnęłam szyję i popatrzyłam na sklepienie z gałęzi nad nami, oszronione, połyskujące w promieniach słońca.

– Zawsze miej baczenie na wszystko – rzekła matka z uśmiechem. – Miej oczy szeroko otwarte, jeśli to możliwe, w ogóle nie spuszczać wzroku. Nie zdradzaj innym, na czym skupiasz uwagę. Napotkasz w życiu przeciwników, którzy będą usiłovali odczytać twoje zamiary. Każąc im zgadywać, zachowasz przewagę.

– Czy nasz gość będzie siedział na drzewie, mamó? – spytałam. Zaśmiała się.

– Nie. Prawdę mówiąc, ja już go dojrzałam. Widzisz go, Élise? Zatrzymałyśmy się. Popatrzyłam na drzewa przed nami.

– Nie, mamó.

– Pokaż się, Freddie – zawołała matka i istotnie, zza drzewa kilka metrów przed nami wyszedł siwobrody mężczyzna. Ściągnął z głowy trikorn i skłonił się przesadnie.

Wszyscy mężczyźni w Wersalu są do siebie podobni. Patrzą z góry na każdego, kto nie jest jednym z nich. Mają na twarzach grymas, który nazywam wersalskim uśmiechem, wyrażający coś pomiędzy zdumieniem a nudą, jakby na końcu języka mieli bezustannie jakąś

ciętą uwagę, po których, zdawało się, oceniali się nawzajem.

Ten mężczyzna nie był wersalczykiem, świadczyła o tym już sama jego broda. A choć się uśmiechał, nie był to uśmiech wersalski. Uśmiechał się łagodnie i zarazem z powagą, sprawiając wrażenie kogoś, kto zawsze waży słowa i nie rzuca ich na wiatr.

– Zdradził cię cień, Freddie – rzekła matka z uśmiechem. Podeszła do niego, a on ucałował jej wyciągniętą dłoń, po czym to samo zrobił z moją, również się przy tym kłaniając.

– Cień? – spytał. Głos miał szorstki, niczym żeglarz albo żołnierz. – A niech mnie kule biją, chyba wychodzę z wprawy.

– Mam nadzieję, że nie, Freddie – zaśmiała się matka. – Élise, przedstawiam ci pana Weatheralla, Anglika. To mój zaufany przyjaciel. Freddie, oto Élise.

Zaufany? Jak kruki? Nie, w niczym ich nie przypominał. Nie gapił się na mnie, tylko chwycił moją dłoń, pochylił się i pocałował ją.

– To zaszczyt poznać, *mademoiselle* – zapewnił chrapliwie, a jego angielski akcent zniekształcił słowo „*mademoiselle*” w sposób, który wydał mi się nieodparcie uroczy.

Matka popatrzyła na mnie znacząco.

– Pan Weatherall to nasz powiernik i obrońca, Élise. Ktoś, do kogo zawsze możesz się zwrócić o pomoc.

Obejrzałam się na nią, nieco zaskoczona.

– A co z ojcem?

– Ojciec kocha nas obie bardzo mocno i bez wahania oddałby za nas życie, ale tak ważnych ludzi jak on należy zwalniać z domowych obowiązków. Dlatego właśnie mamy pana Weatheralla, Élise, aby twój ojciec nie musiał kłopotać się sprawami dotyczącymi jego kobiet. – Spoważniała jeszcze bardziej. – Nie wolno go tym zaprzętać, Élise, rozumiesz?

– Tak, mamo.

Pan Weatherall pokiwał głową.

– Do twoich usług, *mademoiselle* – oznajmił. Dygnęłam.

– Dziękuję, *monsieur*.

Przybiegł Czochraj i przywitał się wylewnie z panem Weatherallem; najwyraźniej znali się od dawna.

– Czy możemy pomówić, Julie? – spytał nasz obrońca, zakładając z powrotem kapelusz i wskazując, by się przeszli.

Zostałam kilka kroków za nimi. Docierały do mnie chaotyczne strzępki ich cichej rozmowy. Usłyszałam „wielki mistrz” i „król”, ale to były tylko słowa, takie same jak te,

które dobiegały mnie zza zamkniętych drzwi rezydencji. Dopiero w późniejszych latach nabrały o wiele poważniejszego wydźwięku.

Wtedy właśnie to się stało.

Wracając do przeszłości, nie potrafię sobie przypomnieć dokładnej sekwencji zdarzeń. Pamiętam, że matka i pan Weatherall zamarli, a Czochraj zjeżył się i zawarczał. Potem matka odwróciła się na pięcie. Moje spojrzenie powędrowało za jej wzrokiem i zobaczyłam w zaroślach po lewej wilka; szaro-czarnego wilka stojącego w całkowitym bezruchu i przyglądającego mi się złowrogimi ślepiami.

Z mufki matki coś się wyłoniło, jakieś srebrzyste ostrze; w dwóch szybkich krokach matka znalazła się u mojego boku, chwyciła mnie i przeniosła za siebie. Wtuliłam się w jej suknię, a ona stawiała czoła wilkowi, wyciągając sztylet.

Po drugiej stronie ścieżki pan Weatherall trzymał za kark wyrywającego się, jeżącego sierść psa; zauważyłam, że drugą ręką sięga po wiszącą u boku szpadę – Zaczekaj – rozkazała matka. Na widok jej podniesionej ręki pan Weatherall znieruchomiał. – Nie sądzę, by ten wilk nas zaatakował.

– Nie byłbym taki pewny, Julie – ostrzegł pan Weatherall. – Wygląda mi na wyjątkowo wygłodzonego.

Wilk gapił się na matkę. Matka nie spuszczała go z oczu, jednocześnie mówiąc do nas:

– Nie ma co jeść na wzgórzach, to desperacja sprowadziła go na naszą ziemię. Ale myślę, że on wie, iż atakując nas, uczyni z nas swoich wrogów. O wiele lepiej będzie, jeśli wycofa się w obliczu przeważającej siły i poszuka stawy gdzie indziej.

Pan Weatherall zaśmiał się krótko.

– Dlaczego brzmi to jak przypowieść?

– Ponieważ, Freddie, to jest przypowieść – odparła matka ze śmiechem Wilk stał tak jeszcze kilka chwil, nie spuszczać wzroku z matki, aż w końcu spuścił łeb, zawrócił i powoli oddalił się kłusem. Patrzyliśmy, jak znika wśród drzew. Matka się rozluźniła i schowała sztylet do mufki. Kiedy się obejrzałam na pana Weatheralla, kurtkę miał z powrotem zapiętą, a jego oręż zniknął bez śladu.

I znalazłam się o krok bliżej olśnienia.

Zaprowadziłam pana Weatheralla do jej pokoju. Poprosił, żebym zostawiła go z nią samego, i zapewnił, że trafi do wyjścia. Zaciekawiona zajrzałam przez dziurkę od klucza. Usiadł przy mojej matce, ujął jej dłoń i spuścił głowę. Po chwili zdało mi się, że słyszę jego szloch.

12 kwietnia 1778

Odwracam się od okna i wspominam ubiegłe lato, kiedy bawiąc się z Arnem, zapomniałam o zmartwieniach i na powrót cieszyłam się beztróskim życiem małej dziewczynki, ścigając się z nim w labiryncie żywopłotu u stóp pałacu i przekomarzając przy deserze, nieświadoma, że ucieczka od strapien będzie tak krótka.

Co dzień rano wbijam paznokcie w dłonie i pytam: „Obudziła się?”, a Ruth, wiedząc, że tak naprawdę mam na myśli: „Czy żyje?”, zapewnia mnie, że matka przeżyła noc.

Ale to już długo nie potrwa.

Cóż. Chwila olśnienia zbliża się wielkimi krokami. Najpierw jednak – kolejny drogowskaz.

Carrollowie przyjechali wiosną owego roku, kiedy poznałam pana Weatheralla. A była to cudowna wiosna. Śniegi stopniały, ukazując zielone dywany równiutko przystrzyżonej trawy, Wersal wrócił do swego naturalnego stanu nieskazitelnej doskonałości. Otoczeni perfekcyjnie przyciętymi żywopłotami naszej posiadłości prawie nie słyszeliśmy gwaru miasteczka, na prawo zaś widniał masyw pałacu i szerokie kamienne schody wiodące do olbrzymiej frontowej kolumnady. Splendor w sam raz na przyjęcie Carrollów z Mayfair w angielskim Londynie. Pan Carroll i ojciec godzinami przesiadywali w salonie, pogrążeni w głębokiej rozmowie i odwiedzani przez kruki, zaś matce i mnie przypadło zabawianie pani Carroll i jej córki May, która bezzwłocznie poinformowała mnie, że ma dziesięć lat i jest przez to o wiele lepsza ode mnie, zaledwie sześciolatki.

Zaprosiliśmy je na spacer i okryliśmy się dla ochrony przed porannym chłodem, który wkrótce miało przepędzić słońce: matka, ja, pani Carroll i May.

Matka i pani Carroll szły kilka kroków przed nami. Zauważyłam, że matka wzięła swoją mufkę, i zastanawiałam się, czy ma w niej schowany sztylet. Oczywiście po przygodzie z wilkiem zapytałam ją o niego.

– Mamo, czemu nosisz nóż w mufce?

– Droga Élise, oczywiście na wypadek napotkania zabłąkanego wilka. – I z kpiarskim uśmiechem dodała: – Wilka w czworo-, a może dwunożnej postaci. Poza tym mufka maskuje

kształt sztyletu.

Zaraz jednak, jak to miała w zwyczaju, kazała mi przysiąc, że to będzie jedna z naszych *vérités cachées*. Pan Weatherall był *vérité cachée*. Co oznaczało, że kiedy pan Weatherall zaczął uczyć mnie szermierki, nasze lekcje również stały się *vérité cachée*.

Innymi słowy, sekretem.

May i ja szłyśmy w należytej odległości za matkami. Rąbki naszych sukni muskały trawę, toteż z oddali musiałyśmy wyglądać, jakbyśmy sunęły nad ziemią.

– Ile masz lat, Śmierdzielu? – spytała szeptem May, choć jak mówiłam, już ustaliła nasz wiek. Nawet dwa razy.

– Nie nazywaj mnie śmierdzielem – obruszyłam się.

– Przepraszam, Śmierdzielu, a teraz powiedz mi jeszcze raz, ile masz lat.

– Mam sześć lat – odparłam.

Zachichotała, dając do zrozumienia, że sześć lat to okropny wiek, jakby sama nigdy tyle nie miała.

– A ja mam dziesięć – oznajmiła z wyższością. (Przy okazji – May Carroll zwykle tak mówiła. O ile nie zaznaczę inaczej, zakładajcie, że mówi z wyższością).

– Wiem, że masz dziesięć – syknęłam, wyobrażając sobie z tęsknotą, że podstawiam jej nogę, a ona pada jak długa na żwir ścieżki.

– Żebyś nie zapomniała – rzekła, a ja ujrzałam oczami wyobraźni drobiny żwiru przyklepione do jej zapłakanej twarzy, kiedy podnosi się z ziemi. Jak to mówił pan Weatherall? Im są więksi, z tym większym hukiem padają.

(Teraz, kiedy sama mam dziesięć lat, zastanawiam się, czy jestem tak samo zarozumiała jak ona. Czy kiedy mówię do młodszych albo o niższej pozycji, w moim głosie słychać ten sam szydrczy ton? Według pana Weatheralla jestem nadmiernie pewna siebie, co, jak sądzę, jest uprzejmym określeniem arogancji, może więc dlatego właśnie tak się ścierałam z May – bo w głębi duszy obie byłyśmy takie same).

Kiedy tak szłyśmy przez park, do naszych uszu dobiegły słowa wypowiedane przez idące przodem damy.

– Rzecz jasna, mamy obawy co do kierunku, który zdaje się obierać wasz Zakon – mówiła pani Carroll.

– Macie obawy? – powtórzyła matka.

– Tak właśnie. Obawy co do zamiarów doradców pani męża. Jak obie wiemy, naszym obowiązkiem jest dbać, by nasi mężowie postępowali właściwie. Być może, jeśli wolno zauważyć, pani mąż pozwala pewnym ugrupowaniom zanadto wpływać na swoją politykę.

– Owszem, pewni wysoko postawieni członkowie opowiadają się za, nazwijmy to, bardziej zdecydowanym postępowaniem w kwestii zmiany starego porządku.

– Martwi to nas w Anglii. Matka zaśmiała się.

– Nie wątpię. Wy, Anglicy, nie godzicie się na żadne zmiany. Pani Carroll obruszyła się:

– Skądże znowu. Pani wyobrażeniu o naszym narodowym charakterze brak subtelności. Zaczynam jednak wyczuwać, ku czemu skłania się pani sama, *madame de La Serre*. Opowiada się pani za zmianą?

– O ile będzie to zmiana na lepsze.

– Czy mam wobec tego przekazać, że trzyma pani stronę doradców swojego męża?

Czyżbym przyjechała tu na próżno?

– Niezupełnie, *madame*. Wielką pociechą jest dla mnie wiedza, że cieszę się poparciem angielskich kolegów, opierając się drastycznym rozwiązaniom. Nie mogę jednak powiedzieć, że podzielam waszą wiarę w ostateczny cel. Choć jest prawdą, że istnieją siły dążące do obalenia władzy przemocą, i choć mój mąż wierzy w boskie namaszczenie monarchy, a jego wyobrażenie idealnej przyszłości nie wiąże się z żadną zmianą w ogóle, ja osobiście stąпам środkową ścieżką. Trzecią, można powiedzieć. Może to nie być dla pani zaskoczeniem, ale uważam swoją ideologię za najbardziej umiarkowaną ze wszystkich trzech.

Przeszły kilka kroków w milczeniu. Pani Carroll w zamyśleniu pokiwała głową.

– Przykro mi, jeśli nasze cele nie są zbieżne, *madame* – przerwała ciszę moja matka. – Proszę o wybaczenie, jeśli czyni to mnie niegodną zaufania powierniczką.

Druga kobieta pokiwała głową.

– Rozumiem. Cóż, na pani miejscu, *madame de La Serre*, wykorzystałabym swoje wpływy po obu stronach, by zaproponować własne rozwiązanie.

– O tej sprawie wolałabym nie rozmawiać, ale zapewniam, że wasza podróż nie jest daremna. Mój szacunek dla was i waszego odłamu Zakonu pozostaje tak niewzruszony jak, mam nadzieję, wasz dla mnie. Jeśli o mnie chodzi, może pani być pewna dwóch rzeczy: po pierwsze, że będę postępować według własnych przekonań, a po drugie, że nie pozwolę, by mój mąż uległ wpływom swoich doradców.

– W takim razie otrzymałam to, po co przyjechałam.

– Wyśmienicie. Mam nadzieję, że to dla pani pewna pociecha. May nachyliła się ku mnie.

– Czy rodzice mówili ci, jakie jest twoje przeznaczenie?

– Nie. Co to znaczy, „przeznaczenie”?

Zakryła dłonią usta, jakby powiedziała za dużo.

– Może powiedzą, kiedy skończysz dziesięć lat. Tak jak moi mi powiedzieli. A przy okazji, ile masz lat?

Westchnęłam.

– Mam sześć lat.

– Cóż, w takim razie może powiedzą ci, kiedy skończysz dziesięć, tak jak mi powiedzieli.

Naturalnie, moi rodzice nie mieli w końcu wyboru i musieli powiedzieć mi o moim przeznaczeniu znacznie wcześniej, bo już po upływie dwóch lat, jesienią 1775 roku, niedługo po moich ósmych urodzinach, kiedy pojechałam z matką kupić pantofle.

Oprócz pałacu w Wersalu posiadaliśmy duży dom w mieście i ilekroć tam byliśmy, matka wybierała się z przyjemnością na zakupy.

Jak już mówiłam, choć pogardzała modą, wachlarzami i perukami, a krzykliwość własnych sukni ograniczała do minimum, jedną rzecz traktowała z nieodmiennym upodobaniem.

Buty. Uwielbiała buty. Kupowała jedwabne pantofelki u Christiana w Paryżu, gdzie jeździliśmy co dwa tygodnie, regularnie jak w zegarku, bo, jak mówiła, była to jej jedyna ekstrawagancja, i moja też, ponieważ zawsze wracaliśmy z parą pantofelków także dla mnie.

Sklep Christiana mieścił się przy jednej z lepszych ulic Paryża, daleko od naszego domu na Wyspie Świętego Ludwika. Wszystko jednak jest względne i mimowolnie wstrzymywałam oddech, kiedy wysiadałyśmy z wygodnego i pachnącego wnętrza powozu na hałaśliwą, ruchliwą ulicę, rozbrzmiewającą krzykami, stukaniem końskich kopyt i bezustannym łoskotem kół wozów. Dźwięki Paryża.

Nad nami kobiety wychylone z okien ze skrzyżowanymi na piersiach rękami przyglądały się życiu w dole. Wzdłuż ulicy ciągnęły się kramy z owocami i tkaninami, znad beczek pełnych towarów mężczyźni i niewiasty w fartuchach nawoływali do nas:

– *Madame! Mademoiselle!*

Moje spojrzenie powędrowało ku cieniom w zaułkach, gdzie dostrzegłam puste twarze;

i wydawało mi się, że widzę głód i rozpacz w przyglądających się nam z pożądaniem i wyrzutem w oczach biedaków.

– Chodź szybciej, Élise – powiedziała matka.

Tak samo jak ona podkasałam spódnicę i zwinnie przeskakując błoto i ekskrementy, ruszyliśmy do sklepu Christiana. Do środka wpuścił nas sam właściciel. Drzwi zatrzęsnęły

się za nami, odcinając dostęp zewnętrznemu światu. Pomocnik sprzedawcy pracowicie oczyścił nam stopy z błota ręcznikiem i już po chwili obie wyglądałyśmy, jakbyśmy nigdy nie pokonywały tego niebezpiecznego dystansu kilku kroków między naszym powozem a drzwiami sklepu z najbardziej ekskluzywnymi butami w Paryżu.

Christian nosił białą perukę z czarną wstążką, frak i białe pumpy. Wyglądał jak idealne ucieleśnienie pół arystokraty, pół służącego, i tak właśnie postrzegał swoją pozycję w hierarchii społecznej. Lubił mawiać, że posiadał moc sprawiania, by kobiety czuły się piękne, największą moc, jaką może osiąść mężczyzna. A mimo to matka pozostawała dla niego zagadką, jakby była jedyną klientką, na którą owa moc nie działała. Tak właśnie było i wiedziałam, dlaczego. Inne kobiety widziały w butach hołd dla własnej próżności, matka zaś uwielbiała je jako dzieła sztuki.

Christian jednak jeszcze tego nie pojął, toteż przy każdej naszej wizycie widowiskowo marnował swój talent.

– Niech pani spojrzy – powiedział, pokazując matce parę pantofelków ze sprzączkami.
– Każdej damie, która przestępuje moje progi, mięknią kolana na widok tej wspaniałości, ale tylko *madame* de La Serre ma kostki dość piękne, by oddać im sprawiedliwość.

– Są zbyt frywolne, Christianie – odparła matka z uśmiechem i machnąwszy władczo ręką, wyminęła go, zмирzając ku innym półkom. Zerknęłam na pomocnika, który odwzajemnił moje spojrzenie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, i poszłam za nią.

Nie zastanawiała się długo. Wybierała ze zdecydowaniem, które wciąż Christiana zdumiewało. Ja, jej nieodłączna towarzysząca, dostrzegałam zmianę, jaka zachodziła w niej podczas zakupów. Tę lekkość. Ten uśmiech, który mi posłała, wsuwając stopę w kolejne pantofelki i podziwiając w lustrze swoje zgrabne kostki przy wtórze pień zachwytu Christiana; każdy bucik był niedokończonym dziełem sztuki, a stopa matki – ostatnim pociągnięciem pędzla.

Wybrałyśmy, matka ustaliła szczegóły zapłaty i dostawy, po czym Christian otworzył nam drzwi na ulicę...

Nie było ani śladu Jeana, naszego stangreta. Ani naszego powozu.

– *Madame?* – spytał Christian z zatroskaną miną. Poczułam, że matka zeszywniała, zobaczyłam, jak zaciska usta i rozgląda się po ulicy.

– Nie ma się czym martwić, Christianie – zapewniła lekkim tonem sprzedawcę. – Nasz powóz po prostu odrobinę się spóźnia. Poczekamy tu na niego, podziwiając paryskie widoki.

Zaczynało się ściemniać i zapanował chłód, wzmagany dodatkowo pierwszymi

kłębami wieczornej mgły.

– To absolutnie niedopuszczalne, *madame*, nie możecie panie czekać na ulicy – zaprotestował Christian z przerażeniem.

Matka obejrzała się na niego i lekko uśmiechnęła.

– Lękasz się, że zobaczymy coś nieodpowiedniego, Christianie?

– To niebezpieczne – zaproponował, po czym nachylił się bliżej i z miną pełną odrazy dodał szeptem: – Do tego ci ludzie!

– Tak, Christianie – powiedziała matka, jakby wtajemniczała go w jakiś sekret. – To tylko ludzie. A teraz wracaj, proszę, do środka. Twoja następna klientka ceni sobie każdą chwilę spędzoną z najbardziej troskliwym sprzedawcą butów w Paryżu nie mniej niż ja, a bez wątplenia nie będzie zachwycona, kiedy zostanie zmuszona dzielić ten czas z dwiema zgubami, czekającymi na niedbałego stangreta.

Wiedząc, że moja matka rzadko zmienia zdanie oraz że ma rację co do następnej klientki, Christian ukłonił się, życzył nam *au revoir* i wrócił do sklepu. Zostałyśmy same na ulicy, z której zabierano beczki, a ludzie rozplywali się w bezkształtne plamy w gęstej mgle.

Ścisnęłam matkę za rękę.

– Mamo?

– Nie przejmuj się, Élise – powiedziała, unosząc dumnie głowę. – Wynajmiemy powóz i wrócimy do Wersalu.

– Nie do willi tu, w Paryżu, mamo?

– Nie – odparła z namysłem, przygryzając wargę. – Wolę raczej wrócić do Wersalu.

Spięta i czujna poprowadziła mnie ulicą. Wyglądałyśmy nedorzecznie w naszych długich spódnicach i czepkach. Z torebki wyjęła lusterko, w którym sprawdziła, czy nie zbladł jej róż na policzkach. Przystanęłyśmy, oglądając witrynę jakiegoś sklepu.

Nawet idąc, nie traciła sposobności, żeby mnie czegoś nauczyć.

– Miej obojętną minę, Élise. Nie okazuj swoich prawdziwych uczuć, zwłaszcza jeśli się denerwujesz. Nie zdradzaj, że się śpieszysz. Na zewnątrz zachowuj spokój. Panuj nad sobą.

Na ulicach było coraz mniej ludzi.

– Na placu czekają powozy, będziemy tam za kilka chwil. Najpierw jednak muszę ci coś powiedzieć. Kiedy to powiem, masz nie reagować, nie możesz odwrócić głowy. Rozumiesz?

– Tak, mamo.

– Dobrze. Ktoś nas śledzi. Idzie za nami od Christiana. Mężczyzna w płaszczu i

wysokim filcowym kapeluszu.

– Dlaczego? Dlaczego ktoś nas śledzi?

– To, moja Élise, bardzo dobre pytanie i zamierzam się tego dowiedzieć. Nie zatrzymuj się.

Przystanęliśmy przed następną witryną.

– Wydaje mi się, że nasz cień zniknął – powiedziała matka z namysłem.

– To dobrze – odparłam z naiwnością ośmiolatki. Na jej twarzy malowała się troska.

– Nie, skarbie, wcale nie. Wolałam, kiedy go widziałam. A teraz muszę się zastanawiać, czy naprawdę sobie poszedł, czy raczej, co bardziej prawdopodobne, wyprzedził nas, żeby nam odciąć drogę, nim dotrzemy do placu. Spodziewa się, że pójdziemy główną ulicą. Oszukamy go, Élise, wybierając inną trasę.

Wzięła mnie za rękę i skręciła, najpierw w węższą ulicę, a potem w długi zaułek, niemal zupełnie ciemny, nie licząc latarni na obu końcach.

Byłyśmy w połowie jego długości, kiedy z mgły przed nami wychynęła jakaś postać.

Poruszone opary kłębiły się pod wilgotnymi ścianami. I zrozumiałam, że matka popełniła błąd.

Miał pociągłą twarz okoloną niemal białymi włosami. W długim czarnym płaszczu i wysokim kapeluszu wyglądał jak silący się na elegancję, ale pamiętający lepsze czasy doktor. Szyję okalał mu obfity biały kołnierz koszuli.

Postawił na ziemi torbę lekarską i otworzył ją jedną ręką, nie spuszczając z nas oczu. Wyjął z niej coś długiego i zakrzywionego.

A potem uśmiechnął się i wyciągnął z pochwy sztylet, który zalśnił w mroku złowrogo.

– Trzymaj się blisko mnie, Élise – szepnęła matka. – Wszystko będzie dobrze.

Uwierzyłam jej, bo byłam ośmioletnią dziewczynką i zawsze wierzyłam matce. Ale miałam też ku temu dobry powód, bo widziałam, jak poradziła sobie z wilkiem.

Mimo to czułam ukąszenia strachu.

– O co panu chodzi, *monsieur*? – zawołała matka beznamiętnie. Nie odpowiedział.

– Dobrze więc. Wrócimy tam, skąd przyszedliśmy – rzekła głośno i wzięła mnie za rękę, żeby zawrócić.

U wylotu zaułka zamigotał jakiś cień i w pomarańczowym blasku latarni pojawiła się druga postać. Był to latarnik, poznałyśmy go po długim drągu. Mimo to matka przystanęła.

– *Monsieur* – zawołała ostrożnie do latarnika. – Czy mogę prosić, by powstrzymał pan tego niepokojącego nas człowieka?

Latarnik nic nie odrzekł, podszedł do zapalanej latarni i uniósł drąg. Mama zaczęła mówić:

– *Monsieur...*

Ja zaś zdziwiłam się, po co miałby próbować zapalić już świecącą lampę. Zbyt późno zrozumiałam, że jego drąg był zakończony hakiem służącym do gaszenia płomienia.

– *Monsieur...*

Wylot zaułka spowiła ciemność. Usłyszałyśmy, że latarnik upuszcza drąg, a kiedy nasze oczy przyzwyczały się do mroku, zobaczyłyśmy, że sięga po coś pod kurtę. On też wyciągnął sztylet. Zrobił krok w naszą stronę.

Matka obejrzała się na doktora.

– O co panu chodzi, *monsieur*? – zapytała.

Ten w odpowiedzi wyciągnął drugą rękę. Z jego nadgarstka z sykiem wysunęło się kolejne ostrze.

– Asasyn – rzekła matka z uśmiechem, gdy się zbliżył. Latarnik też był blisko – tak blisko, że widziałyśmy jego zaciśnięte usta i zmrużone oczy. Matka pośpiesznie obejrzała się w drugą stronę i ujrzała doktora, ze sztyletami opuszczonymi wzdłuż boków. Wciąż się uśmiechał. Sytuacja sprawiała mu przyjemność, a może taki chciał stworzyć pozór.

Jakakolwiek była prawda, jego złowrogość nie zrobiła na matce wrażenia, tak samo jak wdzięki Christiana. Jej następny ruch był pełen gracji niczym taneczny krok. Obcasy zastukały na bruku, wysunęła w przód jedną nogę, schyliła się i w mgnieniu oka wyciągnęła z cholewki nóż.

W jednej chwili byliśmy bezbronni: kobieta z dzieckiem, napadnięte w ciemnym zaułku.

W następnej już nie: kobieta wymachiwała nożem w obronie dziecka. A sądząc po sposobie, w jaki dobyła broni i jak ją teraz trzymała – doskonale wiedziała, jak się tym nożem posługiwać.

Doktor zamrugał powiekami. Latarnik przystanął. Obaj się namyślali.

Matka trzymała nóż w prawej dłoni. Wiedziałam, że dzieje się coś dziwnego, bo była leworęczna, do tego stała odwrócona bokiem do doktora.

Lekarz ruszył naprzód. W tej samej chwili matka przerzuciła nóż z prawej dłoni do lewej. W wirze sukni zniżyła się i wyciągając prawą rękę dla równowagi, lewą cięła doktora przez pierś. Jego frak rozchylił się, niczym przecięty krawieckimi nożycami, a materiał natychmiast nasiąkł krwią.

Był ranny, ale niezbyt ciężko. Wytrzeszczył oczy i odskoczył, najwyraźniej

oszołomiony sprawnością matczynego ataku. Mimo całej swej złowrogiej powierzchowności wydawał się spłoszony, a ja, choć wciąż się bałam, poczułam coś jeszcze: dumę i podziw. Nigdy wcześniej nie miałam poczucia, że jestem tak dobrze chroniona.

Doktor się wycofał. Jego spojrzenie powędrowało za nasze plecy. Matka odwróciła się, nie dość szybko jednak, by nie pozwolić latarnikowi złapać mnie z tyłu i ścisnąć ramieniem za szyję.

– Odłóż nóż, bo... – zaczął mówić latarnik.

Ale nie skończył, bo pół sekundy później już nie żył.

Zaskoczyła go jej szybkość – nie tylko szybkość ataku, ale też szybkość podjęcia decyzji, że jeśli pozwoli mu wziąć mnie na zakładniczkę, wszystko będzie stracone. I dało jej to przewagę – rzuciła się na niego, wpadła między nasze ciała i z okrzykiem wbiła mu łokieć w gardło.

Latarnik wydał odgłos brzmiący jak „baak”, poczułam, że jego uchwyt słabnie, a potem ujrzałam błysk ostrza. Matka, wykorzystując przewagę, wbiła mu sztylet głęboko w brzuch.

Pchnęła go na mur, z cichym stęknieniem wysiłku pociągnęła ostrzem w górę i zwinnie odskoczyła. Przód koszuli mężczyzny pociemniał od krwi i wyrzucił się od wypływających wnętrzności.

Latarnik osunął się na ziemię.

Matka wyprostowała się, by odeprzeć atak doktora, ale zobaczyłyśmy tylko jego płaszcz, kiedy czmychał z zaułka w kierunku ulicy.

Chwyliła mnie za rękę.

– Chodź, Élise, bo pobrudzisz sobie buciki krwią.

Na sukni matki była krew. Oprócz tego nic nie zdradzało, że przed chwilą brała udział w walce.

Wkrótce po powrocie do domu wysłałyśmy wiadomości. Zleciały się kruki, stukając głośno laskami, sapiąc z oburzeniem i głośno domagając się „ukarania winnych”. Służący, poruszeni wydarzeniami, plotkowali po kątach; ojciec zaś, blady na twarzy, co chwila nas przytulał, trochę za mocno i za długo, a gdy wypuszczał nas z objęć, w jego oczach lśniły łzy.

Tylko matka zdawała się nieporuszona. Zachowywała się jak ktoś, kto dobrze się spisał. I miała słuszość. Dzięki niej przeżyłyśmy napaść. Zastanawiałam się, czy w duchu czuje się tak samo podekscytowana jak ja.

Będę musiała przedstawić swoją wersję wydarzeń, uprzedziła mnie w najętym powozie, którym wracałyśmy do rezydencji. Miałam iść za jej przykładem, potwierdzać

wszystko, co powie, i niczemu nie zaprzeczać.

Wysłuchałam więc, jak opowiedziała, co się stało, najpierw Olivierowi, naszemu głównemu lokajowi, potem ojcu, kiedy przyjechał, na koniec zaś krukowi, gdy się zjawili.

A choć jej opowieści zyskiwały na szczegółowości, choć odpowiadały na wszystkie pytania, którymi ją zarzucano, pomijały jeden bardzo istotny detal. Doktora.

– Nie widziała pani ukrytego ostrza? – pytano ją.

– Nie widziałam niczego, co identyfikowałoby moich napastników jako asasynów – odpowiadała – stąd nie mogę zakładać, że było to ich dzieło.

– Pospolici uliczni rabusie nie są tak zorganizowani. To nie może być zbieg okoliczności, że zaginęła wasza karetka. Być może Jean znajdzie się gdzieś pijany, ale nie musi. Być może odnajdzie się martwy. Nie, *madame*, nie wygląda to na przypadkową napaść. To był zaplanowany atak na pani osobę, akt agresji ze strony naszych wrogów.

Coraz częściej zerkano na mnie znacząco. W końcu kazano mi wyjść z pokoju, co zrobiłam. Usiadłam na krześle na korytarzu, nasłuchując głosów zza drzwi, które odbijały się od marmurowych posadzek i trafiały do moich uszu.

– Wielki mistrzu, na pewno rozumie pan, że to było dzieło asasynów.

(Do mnie dotarło jednak, że było to dzieło „zabójców” i myślałam: „Oczywiście, że to było dzieło zabójców, głupcze. A przynajmniej niedoszłych zabójców”).

– Podobnie jak moja żona wolałbym nie wyciągać pochopnych wniosków – odpowiadał ojciec.

– A mimo to wystawił pan dodatkowe straże.

– Oczywiście, że wystawiłem. Ostrożności nigdy dość.

– Myślę, że w głębi duszy wie pan, że to prawda, wielki mistrzu.

– A nawet jeśli? – ojciec podniósł głos. – Co niby mam zrobić?

– Ależ oczywiście działać!

– A jakie to działanie masz na myśli, pomścić honor żony czy obalić króla?

– Jedno i drugie byłoby wymownym sygnałem dla naszych wrogów.

Później przyszła wiadomość, że znaleziono Jeana z poderżniętym gardłem. Zrobiło mi się zimno, jakby ktoś otworzył okno. Popłakałam się. Nie tylko nad Jeanem, ale też, co przynaję ze wstydem, nad sobą. Widziałam, jak cały dom pogrąża się w rozpacz; spod schodów dobiegał płacz, a kruki znów podniosły głosy, tym razem tryumfalnie.

Ojciec ponownie je uciszył. Wyglądając przez okna, widziałam na przyległych terenach mężczyzn z muszkietami. Wszyscy zrobili się nerwowi. Ojciec co chwila przychodził mnie przytulać – aż mając tego dość, zaczęłam się mu wrywać.

– Élise, musimy ci coś powiedzieć.

I to jest właśnie ta chwila, na którą czekałeś, drogi czytelniku tego dziennika, kimkolwiek jesteś – chwila olśnienia, kiedy w końcu rozumiałam, dlaczego kazano mi dochowywać tylu *vérités cachées*, kiedy dowiedziałam się, dlaczego zaufani ojca nazywali go wielkim mistrzem, kiedy pojęłam, co to znaczy templariusz i dlaczego „zabójca” to w istocie asasyn.

Wezwali mnie do gabinetu ojca, kazali ustawić fotele przy kominku i wyprosili całą służbę. Ojciec stał, matka siedziała pochylona do przodu, z dłońmi na kolanach, dodając mi spojrzeniem otuchy. Przypomniało mi się, jak wbiłam sobie kiedyś drzazgę; matka przytulała mnie i pocieszała, a ojciec ścisnął mój palec i ją usunął.

– Élise – zaczął teraz – to, co zamierzamy ci powiedzieć, miało zaczekać do twoich dziesiątych urodzin. Ale dzisiejsze wydarzenia bez wątpienia sprawiły, że zadajesz sobie wiele pytań, a matka uważa, że jesteś gotowa, toteż... oto tu jesteśmy.

Obejrzałam się na matkę, która wzięła mnie za rękę i obdarzyła serdecznym uśmiechem. Ojciec odchrząknął.

To była ta chwila. Wszystkie moje mgliste wyobrażenia na temat mojej przyszłości właśnie miały się zmienić.

– Élise – rzekł – pewnego dnia zostaniesz zwierzchniczką francuskiej gałęzi sekretnego międzynarodowego zakonu, istniejącego od wieków. Ty, Élise de La Serre, zostaniesz wielką mistrzynią templariuszy.

– Wielką mistrzynią templariuszy? – powtórzyłam, wodząc wzrokiem od ojca do matki.

– Tak.

– We Francji?

– Tak. Obecnie to stanowisko piastuję ja. Twoja matka również ma wysoką rangę w Zakonie. Panowie i *madame* Levesque, którzy nas odwiedzają, również są rycerzami Zakonu i tak jak my są wierni jego ideom.

Słuchałam, niezupełnie to wszystko rozumiejąc. Zastanawiałam się, dlaczego, skoro wszyscy ci rycerze byli oddani tej samej sprawie, na każdym spotkaniu tak na siebie krzyczą.

– Kim są templariusze? – spytałam zamiast tego. Ojciec wskazał siebie, matkę, a potem także mnie.

– To my wszyscy. My jesteśmy templariuszami. Jesteśmy członkami sekretnego zakonu, którego celem jest uczynić świat lepszym.

Spodobało mi się to. Chciałam, żeby świat był lepszy.

– Jak to robicie, tatusiu? Ojciec się uśmiechnął.

– Ach, to doskonałe pytanie, Élise. Tak jak każda duża, istniejąca od dawna organizacja mamy różne opinie na temat tego, jak najlepiej osiągnąć nasz cel. Jedni uważają, że powinniśmy siłą stawić opór naszym przeciwnikom. Inni wierzą w pokojowe szerzenie naszych przekonań.

– A jakie to przekonania, tatusiu?

Wzruszył ramionami.

– Nasze motto brzmi: „Niech nas prowadzi ojciec zrozumienia”. Widzisz, my, templariusze, wiemy, że mimo przeciwnych głosów ludzie wcale nie chcą prawdziwej wolności i odpowiedzialności, ponieważ życie jest zbyt wielkim ciężarem i tylko ci o najsilniejszych umysłach potrafią go dźwigać. Wierzimy, że ludzie są dobrzy, ale zbyt łatwo ulegają niegodziwości, lenistwu i zepsuciu; że potrzebują dobrych przywódców, takich, którzy nie wykorzystają ich złych cech, lecz wydobędą te dobre. Wierzimy, że w ten sposób można utrzymać pokój.

Słuchając go, czułam, jak dosłownie poszerzają się moje horyzonty.

– Macie nadzieję poprowadzić w ten sposób lud Francji, ojczy? – spytałam.

– Tak, Élise, taką właśnie mamy nadzieję.

– Jak?

– Cóż, to ja zapytam ciebie – jak ty byś to zrobiła?

Poczułam pustkę w głowie. Jak bym to zrobiła? Miałam wrażenie, że to najtrudniejsze pytanie, jakie mi kiedykolwiek zadano. Nie miałam pojęcia. Ojciec patrzył na mnie dobrotliwie, ale wiedziałam, że czeka na odpowiedź. Spojrzałam na matkę, która ścisnęła moją dłoń, dodając mi otuchy, z zachętą w oczach, a ja odnalazłam swoje przekonania w jej słowach skierowanych do pana Weatheralla i pani Carroll.

– *Monsieur* – rzekłam – uważam, że nasz obecny monarcha jest zepsuty do cna, że jego rządy zatrąły studnię Francji i że aby przywrócić ludziom wiarę w monarchię, należy odsunąć od władzy króla Ludwika.

Moja odpowiedź zaskoczyła ojca. Zrobił zdziwioną minę i rzucił pytające spojrzenie matce, która wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „nie mam z tym nic wspólnego”, choć to jej słowa powtarzałam.

– Rozumiem – rzekł. – Cóż, matka bez wątplenia cieszy się, słysząc takie słowa z twoich ust, Élise, w tej sprawie bowiem nie ma między nami pełnej zgody. Podobnie jak ty, wierzy w zmianę. Ja wiem, że monarcha jest namaszczony przez Boga, a także, że król, który zboczył z właściwej drogi, może na nią wrócić.

I znów pytające spojrzenie i wzruszenie ramion.

– A czy są inni templariusze, tatusiu? – spytałam szybko. Ojciec skinął głową.

– Owszem, na całym świecie. Są tacy, którzy służą Zakonowi. Tacy, którzy sprzyjają naszym celom. Zarazem jednak, jak ty i twoja matka przekonaliście się dzisiaj, mamy także wrogów. Tak jak my jesteśmy starożytnym zakonem, mającym nadzieję ukształtować świat na nasze podobieństwo, tak istnieje przeciwstawne zgromadzenie, którego członkowie są równie oddani własnym celom. Tam gdzie my chcemy zdjąć z barków ludzi dobrej woli brzemień wyboru i zostać ich opiekunami, to drugie zgromadzenie dąży do chaosu i anarchii, upierając się, że każdy powinien decydować za siebie. Głoszą odrzucenie tradycyjnych sposobów myślenia, które prowadziły ludzkość przez tysiące lat, na rzecz inaczej rozumianej wolności. Znani są jako asasyni. Uważamy, że to oni was dziś napadli.

– Ależ tatusiu, słyszałam, jak mówiłeś, że nie masz pewności...

– Powiedziałem to tylko po to, by zdusić wojownicze zapędy co głośniejszych członków naszego Zakonu. Tylko asasyni mogli was napaść, Élise. Tylko oni mieliby śmiałość zabić Jeana i nasłać zabójcę na żonę wielkiego mistrza. Bez wątplenia chcieli zasiać wśród nas zamęt. Tym razem im się nie udało. Musimy dopilnować, żeby w razie następnego ataku również ponieśli klęskę.

Pokiwałam głową.

– Rozumiem, ojcze. Zerknął na matkę.

– Spodziewam się, że to, jak matka cię dziś obroniła, było dla ciebie zaskoczeniem? Nie było. Nie po „sekretniej” przygodzie z wilkiem.

– Tak, tatusiu – odparłam, widząc spojrzenie matki.

– Takie umiejętności musi posiadać każdy templariusz. Pewnego dnia to ty będziesz nam przewodzić. Najpierw jednak przejdziesz inicjację jako templariuszka i poznasz zasady naszego Zakonu. Od jutra będziesz się uczyć szermierki.

Znów podchwyciłam spojrzenie matki. Ja już uczyłam się szermierki. I to od ponad roku.

– Zdaję sobie sprawę, że to może być dla ciebie wielka nowina, Élise – ciągnął ojciec, nie dostrzegając, że matka lekko się zaczerwieniła. – Być może uważałaś, że twoje życie jest podobne do życia innych dziewczynek w twoim wieku. Mogę mieć tylko nadzieję, że jego odmienność nie będzie dla ciebie źródłem zmartwienia. Że przyjmiesz z radością swoje przeznaczenie.

Zawsze podejrzewałam, że nie jestem taka jak inne dziewczynki. Teraz wiedziałam to na pewno.

Następnego ranka Ruth ubierała mnie na spacer po naszej posiadłości. Cmokała bez przerwy, kręciła nosem i mamrotała, że nie powinnam tak ryzykować po wczorajszych wydarzeniach, że cudem uszliśmy z rąk niegodziwca, który nas napadł; że zarówno matka, jak i ja mogłyśmy leżeć martwe w zaułku, gdyby nie tajemniczy przechodzień, który przepędził napastnika.

A więc taką wersję przedstawiono służbie. Mnóstwo kłamstw, mnóstwo tajemnic.

Ekscytowała mnie świadomość, że jestem jedną z dwóch osób – no, trzech, jeśli liczyć doktora – które znały prawdę o wczorajszych wydarzeniach. Jedną z nielicznych, które wiedziały, że to nie jakiś tajemniczy mężczyzna, lecz moja matka rozprawiła się z napastnikami; i jedną z nielicznych, które wiedziały, czym naprawdę zajmuje się moja rodzina, nie wspominając już o mojej w tym roli.

Obudziłam się tego ranka ze światłem w duszy. W końcu wszystkie te *vérités cachées*, których kazano mi dochować, nabrały sensu. Wreszcie wiedziałam, dlaczego moja rodzina tak bardzo różni się od innych, dlaczego ja sama nigdy nie mogłam się odnaleźć wśród innych dzieci... Było tak dlatego, że moje przeznaczenie leżało na końcu zupełnie innej drogi.

A co najlepsze:

– Wszystkiego będzie cię uczyć matka – powiedział ojciec, uśmiechając się do niej ciepło, ona zaś przekazała całą tę jego miłość mnie.

– Chociaż, może nie wszystkiego – poprawił się. – Być może w kwestiach ideologii słuchaj lepiej swojego ojca, wielkiego mistrza.

– François – skarciła go matka – dziecko samo podejmie decyzję. Niech dochodzi do własnych wniosków.

– Najdroższa, dlaczego mam nieodparte wrażenie, że dla Élise dzisiejsze wydarzenia nie są taką niespodzianką, jaką być powinny?

– A jak myślisz, o czym damy rozmawiają podczas spacerów, François?

– O butach?

– Cóż, o tym też – ustąpiła. – Istotnie, rozmawiamy o butach. Ale o czym jeszcze?

Zrozumiał; pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć, że był tak ślepy na coś, co działo się tuż pod jego nosem.

– Czy przed dzisiejszym dniem wiedziała o Zakonie? – spytał.

– Nie jako takim – odparła matka. – Choć wypada rzec, że była przygotowana na tę rewelację.

– A broń?

– Owszem, co nieco ćwiczyła. Ojciec gestem nakazał mi wstać.

– Zobaczmy, czy nauczyłaś się *en garde*, Élise – rzekł, przyjmując tę postawę samemu, z prawą ręką wyciągniętą i palcem wskazującym wyprostowanym niczym ostrze.

Zrobiłam, jak kazał. Ojciec rzucił matce pełne podziwu spojrzenie i przyjrzał się mojej postawie. Obszedł mnie dookoła, a ja chłonełam ciepło jego aprobaty.

– Praworęczna jak ojciec – zaśmiał się – a nie mańkut jak matka.

Ugięłam lekko kolana, sprawdzając równowagę, a on znów się uśmiechnął.

– Czyżbym wyczuwał w treningu naszej córki rękę pewnego Anglika, Julie?

– Owszem, pan Weatherall pomagał mi organizować dodatkowe zajęcia naszej córki – potwierdziła lekkim tonem.

– Rozumiem. Tak właśnie myślałem, że ostatnio widzimy go tu częściej niż zwykle.

Powiedz, wciąż do ciebie wzdycha?

– François, zawstydzasz mnie – upomniała go matka.

(Wtedy nie wiedziałam, oczywiście, o co im chodzi. Ale teraz już wiem. Po tym, jak zobaczyłam pana Weatheralla zeszłej nocy, załamanego. Och, teraz już wiem).

Ojciec spoważniał.

– Julie, wiesz, że ufam ci we wszystkim i jeśli uczyłaś nasze dziecko, to w tym także cię wspieram; jeśli dzięki panu Weatherallowi Élise zachowała zimną krew podczas wczorajszej napaści, to tym bardziej miałaś rację. Ale nasza córka pewnego dnia zostanie wielką mistrzynią. Pójdzie w moje ślady. W sprawach szermierki czy taktyki może być twoją uczennicą, Julie, ale w kwestiach ideologii zostaw ją mnie. Czy to jasne?

– Tak, François – uśmiechnęła się słodko matka. – To jasne. Wymieniłyśmy spojrzenia.

Niewypowiedziana *vérité cachée*.

Tak oto, uciekając przed nadmierną troską Ruth, zesłam do hallu, gotowa na spacer z matką.

– Weźcie, proszę, Czochraja i ochronę, Julie – powiedział ojciec nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Oczywiście – odparła i wskazała jednego z mężczyzn stojących na uboczu. W całym naszym domu zrobiło się jakby bardziej tłoczno.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Był to pan Weatherall. Przez chwilę on i ojciec przyglądali się sobie czujnie, potem pan Weatherall uklonił się nisko i uściśnęli sobie dłonie.

– François i ja powiedzieliśmy Élise, co ją czeka – rzekła matka.

Pan Weatherall odwrócił się od ojca do mnie, skinął głową, a potem znów się uklonił.

Ujął moją dłoń i pocałował ją. Poczułam się jak księżniczka.

– I jakie to uczucie, mała Élise, wiedzieć, że pewnego dnia będziesz przewodzić templariuszom?

– Niezwykłe, *monsieur* – odparłam.

– No, ja myślę!

– François słusznie odgadł, że Élise pobierała pewne nauki – powiedziała matka.

Pan Weatherall odwrócił się z powrotem do ojca.

– Oczywiście – rzekł. – Ufam, że wielki mistrz nie jest przeciwny moim podpowiedziom?

– Jak wyjaśniłem zeszłego wieczora, całkowicie ufam swojej żonie w takich sprawach.

Wiem, że mając ciebie, Freddie, obie są w dobrych rękach.

W tym momencie zjawił się Olivier. Stanął z dala, dopóki nie został przywołany, a potem wyszeptał coś swojemu panu do ucha. Ojciec kiwnął głową i odwrócił się do matki.

– Muszę was opuścić, moja droga – powiedział. – Przybyli nasi „przyjaciele”.

Kruki, rzecz jasna. Wróciły, żeby znów na siebie krzyczeć. Zabawna rzecz: to, czego się dowiedziałam, stawiało mojego ojca w nowym świetle. Nie był już tylko moim ojcem. Nie tylko mężem mojej matki, ale i człowiekiem, który nie próżnował. Człowiekiem, na którego barkach spoczywały ważne obowiązki, którego uwagę wciąż coś zaprzętało. Którego decyzje zmieniały życie innych ludzi. Kiedy wychodziliśmy, Kruki minęły nas w drzwiach, pozdrawiając uprzejmie matkę i pana Weatheralla; tłoczyły się w hallu, nagle pełnym ruchu i gwarnym, rozprawiając o pomszczeniu wczorajszej napaści i dopilnowaniu, by śmierć Jeana nie poszła na marne.

Wyszliśmy we troje na zewnątrz i szliśmy przez chwilę w milczeniu, które przerwał pan Weatherall.

– A więc, Élise, jak się naprawdę czujesz, znając swoje przeznaczenie? – spytał.

– Tak jak powiedziałam przy ojcu – odparłam.

– Ani trochę się nie boisz, kwiatuszku? Tych wszystkich obowiązków?

– Pan Weatherall uważa, że jesteś za młoda, żeby znać swoje przeznaczenie – wyjaśniła matka.

– Ani trochę; nie mogę się doczekać tego, co przyniesie przyszłość, *monsieur* – odrzekłam.

Kiwnął głową, jakby to mu wystarczyło.

– Chciałabym też częściej uczyć się szermierki, *monsieur* – dodałam. – Skoro to już nie tajemnica.

– Właśnie! Popracujemy nad twoją *riposte* i *envelopment*, będziesz mogła popisać się przed ojcem. Myślę, że będzie zaskoczony, Élise, tym, jak świetnym jesteś już szermierzem. Być może pewnego dnia przewyższysz nawet swoją matkę i ojca.

– Och, wątpię, *monsieur*.

– Freddie, bardzo cię proszę, nie nabijaj dziecku głowy takimi pomysłami. – Matka szturchnęła mnie łokciem i szepnęła: – Choć między nami mówiąc, Élise, może mieć rację.

Pan Weatherall spoważniał.

– Dobrze. Czy porozmawiamy w końcu o tym, co się wydarzyło wczoraj?

– To był zamach na nasze życie.

– Żałuję, że mnie tam nie było.

– Chociaż cię nie było, Freddie, nic się nam nie stało, nawet się mocno nie zlekłyśmy.

Élise świetnie się spisała, a...

– Ty byłaś jak lwica broniąca swoich młodych, co?

– Zrobiłam, co musiałam. Żałuję tylko, że jeden z nich uciekł. Pan Weatherall przystanął.

– Jeden z nich? Chcesz powiedzieć, że nie był sam, że było ich więcej? Matka spojrzała na niego znacząco.

– Och, tak. Był jeszcze drugi, groźniejszy. Używał ukrytego ostrza. Usta pana Weatheralla same się otwały.

– A więc to istotnie było dzieło asasynów?

– Mam pewne wątpliwości.

– Ach tak? Dlaczego?

– On uciekł, Freddie. Słyszałaś kiedyś o uciekającym asasynie?

– To tylko ludzie, a ty jesteś groźnym przeciwnikiem. Na jego miejscu pewnie samego by mnie kusiło, żeby czmychnąć. Istna z ciebie diablica z tym nożem.

Odwrócił się i puścił do mnie oko. Matka się rozpromieniła.

– Bądź pewny, że twoje pochlebstwa nie uchodzą mojej uwadze, Freddie. Ale ten człowiek... Było w nim coś dziwnego. Zachowywał się... jakby na pokaz. Był asasynem, dowodzi tego ukryte ostrze. Ale zastanawiam się, czy prawdziwym.

– Musimy go znaleźć i zapytać.

– W rzeczy samej.

– Powiedz mi, jak wyglądał. Matka opisała doktora.

– ...coś jeszcze.

– Tak?

Poprowadziła nas w stronę żywoplotu. Zeszłego wieczora, kiedy uciekałyśmy z zaułka, zabrała ze sobą torbę doktora. Zanim weszłyśmy do rezydencji, kazała mi pobiec i ją schować. Teraz wręczyła ją panu Weatherallowi.

– Zostawił to, prawda?

– Istotnie. Trzymał w niej sztylet, ale poza tym jest pusta.

– Nie ma tam nic, co pomogłoby go zidentyfikować?

– Jest pewna rzecz... otwórz ją. Widzisz metkę?

– Torba została uszyta w Anglii – zdziwił się pan Weatherall. – Angielski asasyn?

Matka pokiwała głową.

– Możliwe, bardzo możliwe. Nie sądzisz, że to możliwe, iż Anglicy chcą mojej śmierci?

Powiedziałam jasno pani Carroll, że opowiadam się za zmianą panującego.

– Ale także, że jesteś przeciwna rozlewowi krwi.

– Zgadza się. A pani Carroll zdawała się uważać, że jej Zakonowi to wystarczy. Może jednak nie wystarczyło.

Pan Weatherall pokręcił głową.

– Nie przekonuje mnie to. Odsuwając na bok swoją narodową dumę, nie rozumiem, jak mieliby na tym skorzystać. Uważają cię za kogoś, kto ma korzystny, miarkujący wpływ na Zakon jako całość. Zabijając cię, ryzykowałiby, że sytuacja się zdestabilizuje.

– Być może są gotowi podjąć to ryzyko. Tak czy inaczej torba lekarska szyta w Anglii to jedyny trop wskazujący na tożsamość tego asasyna.

Pan Weatherall skinął głową.

– Znajdziemy go, *madame* – obiecał. – Możesz być tego pewna.

To, oczywiście, miało miejsce trzy lata temu. Doktor przepadł bez śladu. Zamach na nasze życie zniknął w przeszłości jak żebracy połykani przez paryską mgłę.

13 kwietnia 1778

Chcę, żeby wyzdrowiała. Chcę, żeby nadszedł dzień, kiedy zaświeci słońce, służące wejda, żeby odsunąć zasłony, i zastaną ją siedzącą na łóżku, „w znacznie lepszym zdrowiu”.

Chcę, żeby słońce wpadające przez jej okna wlało się w korytarze naszego ciemnego domu i przepędziło przyczajone w nich smutne cienie, żeby dotknęło ojca, ożywiło go i oddało mi go z powrotem. Chcę znów słyszeć piosenki i śmiech z kuchni. Chcę, żeby skończył się ten powściągany smutek, żeby mój uśmiech był prawdziwy, żeby nie skrywał więcej zżerającej mnie od środka rozpacz.

Nade wszystko zaś chcę odzyskać matkę. Swoją matkę, swoją nauczycielkę, swoją mentorkę. Nie tylko chcę – ja jej potrzebuję. W każdej chwili każdego dnia zastanawiam się, jak wyglądałoby życie bez niej, i nie umiem sobie tego wyobrazić.

Chcę, by wyzdrowiała.

Wreszcie, tego samego jeszcze roku, poznałam Arna.

Wyjątek z diariusza Arna Dorigana

12 września 1794

Nasz związek został wykuty w ogniu śmierci – śmierci mojego ojca.

Jak długo łączyła nas normalna, zwyczajowa więź? Pół godziny? Byłem w pałacu wersalskim z ojcem, który miał tam sprawę do załatwienia. Polecił mi zaczekać, aż wróci. Gdy tak siedziałem i wymachując nogami, patrzyłem na krzątających się wokół dworzan, pojawiła się Élise de La Serre.

Jej uśmiech pokochałem dopiero później, jej rude włosy nie były dla mnie wtedy szczególne, a piękno, które chłoneły moje dorosłe oczy, dla oczu chłopca pozostawało niewidoczne. Miałem w końcu tylko osiem lat, a ośmioletni chłopcy nie przepadają za ośmioletnimi dziewczynkami, chyba że ośmioletnia dziewczynka jest kimś bardzo wyjątkowym. I tak właśnie było z Élise. Miała w sobie coś niezwykłego. Była dziewczynką, ale już od pierwszych chwil naszej znajomości wiedziałem, że w niczym nie przypomina innych znanych mi panienek.

Goń mnie. Jej ulubiona zabawa. Ileż to razy bawiliśmy się w to jako dzieci i jako dorośli.

Można powiedzieć, że nigdy nie przestaliśmy.

Biegaliśmy po lustrzanych marmurowych posadzkach pałacu, między nogami dworzan, korytarzami, wokół kolumn i filarów. Nawet teraz pałac jest dla mnie olbrzymi, jego sklepienia – niewyobrażalnie wysokie, korytarze ciągną się jak okiem sięgnąć, gigantyczne sklepienie okna wychodzą na kamienne schody i rozległe ogrody.

Ale wtedy? Wtedy był dla mnie po prostu wyjątkowo wielki. A mimo to, choć był miejscem obcym i ogromnym, choć z każdym krokiem coraz jaskrawiej łamałem polecenie ojca, nie potrafiłem oprzeć się urokowi swojej nowej towarzyszkich zabaw. Panienki, które wcześniej spotykałem, były inne. Stały na baczność, wydymając z pogardą usta na wszystko, co chłopięce; chodziły kilka kroków za swoimi matkami i wyglądały jak ich miniaturowe kopie; nie biegały z chichotem po korytarzach Wersalu, ignorując wszelkie protesty, dla samej radości biegania i z upodobania do zabawy. Zastanawiam się, czy już wtedy się w niej zakochałem.

A potem, kiedy zacząłem się martwić, że nie znajdę ojca, moje obawy stały się

nieistotne.

Rozległ się krzyk. Tupot biegnących stóp. Zobaczyłem żołnierzy z muszkietami, a chwilę później, zupełnie przypadkiem, trafiłem do miejsca, gdzie ojciec spotkał swojego zabójcę. Uklęknąłem przy nim, a on wydał ostatnie tchnienie.

Kiedy oderwałem w końcu wzrok od jego ciała, ujrzałem swojego wybawiciela, swojego nowego opiekuna: François de La Serre'a.

Wyjątki z diariusza Élise de La Serre

14 kwietnia 1778

Przyszedł dziś do mnie.

– Élise, twój ojciec do ciebie – powiedziała Ruth. Tak jak wszyscy w jego obecności zachowywała się inaczej; dygnęła i wyszła, zostawiając nas samych.

– Dzień dobry, Élise – rzekł ojciec, stojąc sztywno w progu.

Wywołałam z pamięci wieczór sprzed lat, kiedy wróciłam z matką z Paryża po napaści w zaułku, jak nie mógł się powstrzymać od bezustannego przytulania nas. Tulił mnie tak często, że w końcu zaczęłam się wyrywać, by zaczerpnąć trochę powietrza. Teraz, kiedy tak sterczał, przypominając raczej gubernera niż ojca, oddałabym wszystko za jeden z tamtych uścisków.

Odwrocił się i zaczął chodzić w tę i we w tę, z rękami splecionymi za plecami. Przystanął, spoglądał za okno, ale nie widząc tak naprawdę rozciągających się tam trawników.

Obserwowałam niewyraźne odbicie jego twarzy w szybie.

– Chciałem zobaczyć, jak się miewasz – rzekł, nie odwracając się.

– Bardzo dobrze, dziękuję, tato.

Milczenie. Międlłam w palcach materiał sukienki. Ojciec odchrząknął.

– Bardzo dobrze maskujesz swoje uczucia, Élise; takie właśnie umiejętności będą ci potrzebne, kiedy zostaniesz wielką mistrzynią. Twoja siła, chluba naszej rodziny, pewnego dnia przysporzy korzyści Zakonowi.

– Tak, ojcze. Znow odchrząknął.

– Chciałbym jednak, abyś wiedziała, że prywatnie, albo kiedy jesteśmy sam na sam, jest... jest zupełnie dopuszczalne, że możesz nie czuć się dobrze.

– W takim razie przyznaję, że cierpię, ojcze. Spuścił głowę.

Jego oczy w odbiciu wyglądały jak ciemne koła. Wiedziałam, dlaczego trudno mu na mnie patrzeć – przypominałam mu o niej. O jego konającej żonie.

– Również cierpię, Élise. Twoja matka jest całym światem dla nas obojga.

(I jeśli była chwila, kiedy powinien był odwrócić się od okna, podejść do mnie, objąć mnie i pozwolić, byśmy wspólnie przeżywali nasz ból, to była to właśnie ta chwila.

Ale tego nie uczynił).

(I jeśli była chwila, kiedy powinnam była spytać go, dlaczego, skoro wie, jak cierpieć, spędza tyle czasu z Arnem, a nie ze mną, to była to właśnie ta chwila.

Ale nie zapytałam).

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i wyszedł. Później usłyszałam, że pojechał na polowanie... z Arnem.

Wkrótce przybędzie lekarz. Nigdy nie przynosi dobrych wieści.

Wracam myślami do spotkania sprzed dwóch lat, kiedy to zostałam wezwana do gabinetu ojca na rozmowę z nim i matką, która – co dla niej niezwykle – miała zatroskaną minę.

Zorientowałam się, że chcą porozmawiać o jakichś poważnych sprawach, kiedy kazali wyjść Olivierowi. Drzwi się zamknęły, a ojciec polecił, bym usiadła.

– Matka mówi, że robisz postępy w ćwiczeniach, Élise – zaczął. Przytaknęłam z entuzjazmem, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

– Tak, ojcze. Pan Weatherall mówi, że będę piekielnie dobrym szermierzem. Ojciec zrobił zaskoczoną minę.

– Rozumiem. To bez wątpienia jedno z jego brytyjskich powiedzonek. Cóż, miło mi to słyszeć. Widać, że wdałaś się w matkę.

– Sam też niezgorzej wywijasz szpadą, François – rzekła matka, uśmiechając się nieznacznie.

– Przypomniałaś mi, że dawno już się nie pojedynkowaliśmy.

– Mam to traktować jak wyzwanie?

Popatrzył na nią i na moment zapomnieli o ważnych sprawach. O mnie. Przez krótką chwilę w pokoju byli tylko oni, rozbawieni, flirtujący ze sobą.

Chwila ta minęła równie szybko, jak nadeszła, i oboje znów skupili swoją uwagę na mnie.

– Wkrótce zostaniesz templariuszką, Élise.

– Kiedy będę przyjęta, tato? – spytałam.

– Zakończysz naukę w Maison Royale w Saint-Cyr, a potem staniesz się pełnoprawną członkinią Zakonu i zaczniesz się przygotowywać do zajęcia mojego miejsca.

Kiwnęłam głową.

– Wpierw jednak musimy ci coś powiedzieć. – Ojciec obejrzał się na matkę; oboje mieli poważne miny. – Chodzi o Arna...

Arno był wtedy moim najlepszym przyjacielem i osobą, którą po rodzicach kochałam

najmocniej. Biedna Ruth. Musiała porzucić resztki nadziei, że zostanę normalną dziewczynką i zacznę się interesować rzeczami, które pochłaniają moje rówieśniczki. Obecność Arna oznaczała, że miałam towarzysza zabaw na zawołanie, a na dodatek towarzyszem tym był chłopiec. Jej marzenia legły w gruzach.

Z dzisiejszej perspektywy widzę, że go wykorzystywałam. Był sierotą, trafił do nas zagubiony, a ja, oczywiście, tyle mała templariuszka, ile samolubna dziewczynka, przywłaszczyłam go sobie. Byliśmy przyjaciółmi, rówieśnikami, ale mnie przypadła rola starszej siostry, którą odgrywałam z wielkim upodobaniem. Uwielbiałam pokonywać go w udawanych walkach na palcacy. Podczas ćwiczeń z panem Weatherallem czułam się jak spłoszony żółtodziób, popełniający błąd za błędem oraz, co często mi wytykał, kierujący się sercem zamiast głową. W zabawie z Arnem moje umiejętności nowicjuszki czyniły mnie niepokonaną, onieśmielającą mistrzynią. W innych zabawach – skakance, klasach, lotce – byliśmy sobie równi. Ale pojedynki zawsze wygrywałam.

Przy ładnej pogodzie włóczyliśmy się po ogrodach, szpiegowaliśmy Laurenta i innych służących, puszczaaliśmy kaczki nad stawem. Gdy padało, zostawaliśmy w domu i graliśmy w tryktraka, kulki czy kości. Toczyliśmy fajerki przestronnymi korytarzami parteru i zwiedzaliśmy górne piętra, chowając się przed pokojówkami albo uciekając z chichotem, kiedy nas przeganiały.

Tak spędzałam dni: rano pobierałam nauki, przygotowywana do dorosłego życia przywódczyni francuskich templariuszy; po południu, zwolniona z tych obowiązków, z niedoszłej dorosłej stawałam się na powrót dzieckiem. I już wtedy, choć nigdy bym tak tego nie ujęła, wiedziałam, że Arno jest moją ucieczką.

Oczywiście wszyscy zauważyli, jak bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

– Nigdy jeszcze nie widziałam cię tak szczęśliwej – mawiała Ruth z rezygnacją.

– Bardzo lubisz swojego nowego kolegę, prawda, Élise? – pytała matka.

(Teraz, kiedy obserwuję Arna fechtującego się z ojcem na dziedzińcu, kiedy słyszę, że pojechali razem na polowanie, zastanawiam się, czy matka nie była odrobinę zazdrosna, że mam kogoś swojego. Wiem teraz, jak mogła się czuć).

Nie przyszło mi jednak nigdy do głowy, że moja przyjaźń z Arnem może być powodem zmartwień. Aż do chwili, kiedy stanęłam przed rodzicami w gabinecie, a oni oznajmili, że muszą mi coś o nim powiedzieć.

– Arno jest z pochodzenia asasynem – rzekł ojciec. Mój świat drgnął.

– Ale... – wyjąkałam, próbując pogodzić w myślach dwa obrazy. Jeden: Arno w butach ze lśniącymi sprzączkami, w kamizelce i fraku, biegnącego korytarzami rezydencji i

popychającego kijkiem fajerkę. I drugi: asasyńskiego doktora w wysokim kapeluszu w zaułku pogrążonym we mgle.

– Asasyni są naszymi wrogami. Matka i ojciec spojrzeli po sobie.

– Owszem, mają cele przeciwne do naszych – przyznał ojciec. W mojej głowie jedna myśl goniła drugą.

– Ale... ale czy to znaczy, że Arno będzie chciał mnie zabić? Matka podeszła bliżej, by mnie przytulić.

– Nie, skarbie, nic z tych rzeczy. Arno wciąż jest twoim przyjacielem. Choć jego ojciec, Charles Dorian, był asasynem, Arno nie zna swojego przeznaczenia. Bez wątpienia dowiedziałby się o nim, być może w swoje dziesiąte urodziny, tak jak planowaliśmy powiedzieć tobie. Ale stało się tak, że trafił do naszego domu, nie wiedząc, co ma mu przynieść przyszłość.

– W takim razie nie jest asasynem, tylko synem asasyna. Znów spojrzeli po sobie.

– Będzie miał pewne wrodzone cechy, Élise. Pod wieloma względami Arno jest, był i zawsze będzie asasynem, tyle że o tym nie wie.

– Ale skoro o tym nie wie, to nigdy nie zostaniemy wrogami.

– Zgadza się – przyznał ojciec. – Uważamy wręcz, że jego naturę można odmienić przez wychowanie.

– François... – odezwała się matka ostrzegawczym tonem.

– Co masz na myśli, ojcze? – spytałam, przenosząc wzrok z niego na matkę, zauważając jej zakłopotanie.

– Mam na myśli to, że masz na niego pewien wpływ, prawda? – spytał ojciec. Poczulałam, że się czerwienię. Czyżby to było aż tak oczywiste?

– Być może, ojcze...

– Bierze z ciebie wzór, Élise, i czemu nie? Bardzo mnie to cieszy i napawa nadzieją.

– François... – powtórzyła matka. Ojciec uciszył ją, podnosząc dłoń.

– Proszę, skarbie, zostaw to mnie. Przyglądałam się im czujnie.

– Nie widzę przeszkód, abyś ty, jako przyjaciółka i towarzyszka zabaw Arna, nie mogła zacząć wpajać mu naszych przekonań.

– Indoktrynować go, François? – spytała matka z nieukrywanym gniewem.

– Pokierować nim, moja droga.

– Pokierować w sposób sprzeczny z jego naturą?

– Skąd to wiesz? Być może Élise ma rację i nie jest asasynem, dopóki się nim nie stanie.

Może zdołamy wyratować go z łap jego pobratymców.

– Asasyni nie wiedzą, że on tu jest? – spytałam.

– Sądzymy, że nie.

– W takim razie go nie odnajdą.

– Zgadza się, Élise.

– Czyli nie musi być... kimkolwiek.

Na twarzy ojca odmalowało się zmieszanie.

– Przykro mi, moja droga, nie rozumiem.

Chciałam im rzec: nie mieszajcie go w to. Niech Arno będzie mój, niech nie wie o tym, jak widzimy świat, jak chcemy go kształtować, niech ten wycinek życia, który z nim dzielę, będzie od tego wolny.

– Myślę – powiedziała matka – że to, co próbuje wyrazić Élise, jest... – Rozłożyła ręce. – Po co ten pośpiech.

Ojciec wydał wargi; nie podobał mu się ten zjednoczony front oporu kobiet.

– Jest moim podopiecznym. Dzieckiem żyjącym w tym domu. Zostanie wychowany według zasad tej rodziny. Ujmując to brutalnie, musimy go zdobyć, nim zrobią to asasyni.

– Nie mamy podstaw do obaw, że asasyni kiedykolwiek dowiedzą się o jego istnieniu – powiedziała z naciskiem.

– Nie możemy być tego pewni. Jeśli nawiążą z nim kontakt, wciągną go do Zakonu. Nie będzie w stanie się im sprzeciwić.

– Skoro nie będzie w stanie się sprzeciwić, to jak możemy kierować go w inną stronę? – spytałam błagalnie, choć moje pobudki były raczej osobiste niż ideologiczne. – Jak możemy występować przeciw temu, co przeznaczył dla niego los?

Ojciec przeszył mnie surowym spojrzeniem.

– Chcesz, żeby Arno był twoim wrogiem?

– Nie – powiedziałam z mocą.

– A zatem najlepszym sposobem, by tak się nie stało, jest przekonać go do naszego sposobu myślenia.

– Tak, François, ale nie teraz – przerwała mu matka. – Jeszcze nie teraz. Nie kiedy są tacy młodzi.

Ojciec popatrzył na nasze zacięte w oporze twarze i jakby zmiękł.

– Ach, wy – rzekł z uśmiechem. – Dobrze. Na razie niech będzie tak, jak chcecie.

Wrócimy do tej sprawy później.

Rzuciłam matce pełne wdzięczności spojrzenie. Co ja bez niej pocznę?

Zachorowała niedługo potem i zamknięto ją w jej pokoju, zaciemnionym w dzień i w nocy; do tej części domu wstęp miała tylko jej służąca Justine, mój ojciec, ja oraz trzy pielęgniarki najęte do opieki nad nią – każda nosiła imię Marie.

Dla reszty domowników przestawała istnieć. Choć moje poranki wyglądały wciąż tak samo: spędzałam je z nauczycielem, a potem w lesie na obrzeżach naszego majątku, ucząc się szermierki od pana Weatheralla, to popołudnia upływały mi już bez Arna; przesiadywałam przy łóżku matki, trzymając ją za rękę, a trzy Marie krzątały się dookoła.

Widziałam, jak Arno zbliża się do mojego ojca. Dostrzegałam, jak ojciec znajduje ucieczkę od stresu, związanego z chorobą matki, coraz bardziej wchodząc w rolę opiekuna. Oboje staraliśmy się poradzić sobie jakoś z powolną utratą matki, każde z nas inaczej. Z mojego życia powoli znikła radość.

Nawiedzał mnie kiedyś pewien sen. Tyle że to nie był sen, bo nie spałam. Można to chyba nazwać marzeniem. Siedziałam w nim na tronie. Wiem, jak to może wyglądać, ale jeśli nie pamiętnikowi, to komu mogłabym się do tego przyznać? Siedzę na tronie przed zgromadzeniem poddanych, którzy – choć w marzeniu bezosobowi – muszą być chyba templariuszami. Zebrali się przede mną, wielką mistrzynią. I wiadomo, że nie jest to zbyt poważne marzenie, bo siedzę przed nimi jako dziesięcioletnia dziewczynka, tron jest dla mnie o wiele za duży, nogami nie sięgam podłogi, ręce mam za krótkie, by choć sięgnąć do poręczy. Jestem najmniej majestatyczną królową, jaką można sobie wyobrazić, ale to sen na jawie, a z nimi tak już bywa.

I ważne w nim nie jest to, że zostaję królową, ani to, że o wiele dziesiątków lat przyspieszyłam swoje namaszczenie na wielką mistrzynię. Dla mnie najistotniejszy jest fakt, że po moich bokach siedzą matka i ojciec.

Z każdym dniem, kiedy ona słabnie i jest coraz bliższa śmierci, z każdym dniem, kiedy on zbliża się do Arna, ich wizerunki w moim śnie stają się coraz bledsze.

15 kwietnia 1778

– Zanim odejdę, Élise, muszę ci coś powiedzieć.

Wzięła mnie za rękę, jej uścisk był taki słaby... Zaczęłam płakać.

– Nie, mam, proszę, nie...

– Cicho, dziecko, bądź silna. Bądź silna dla mnie. Odchodzę od ciebie i musisz to potraktować jako próbę swoich sił. Musisz przyjąć, że to wola Boża. Musisz być silna, nie tylko dla siebie, ale też dla ojca. Moje odejście czyni go podatnym na uniesione głosy Zakonu. Ty musisz być głosem w jego drugim uchu, Élise. Musisz nalegać, by obrał trzecią drogę.

– Nie mogę.

– Możesz. Pewnego dnia to ty zostaniesz wielką mistrzynią i będziesz musiała kierować Zakonem według własnych przekonań. Zasad, w które wierzysz.

– To twoje zasady, matko.

Puściła moją dłoń i wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić mnie po twarzy. Oczy zasły jej mgłą, po ustach błąkał się uśmiech.

– To zasady oparte na współczuciu, Élise, a ty masz go bardzo dużo. Tak dużo. Jestem z ciebie bardzo dumna, nie mogłam marzyć o cudowniejszej córce. Widzę w tobie wszystko to, co najlepsze w twoim ojcu i we mnie. Nie mogłam prosić o nic więcej, Élise, a teraz umrę szczęśliwa, że cię znałam i że byłam świadkiem narodzin twojej wielkości.

– Nie, matko, proszę, nie.

Słowa przerywał targający mną szloch. Ścisnęłam jej rękę przez przykrycie... Tę wychudzoną rękę... Tak jakbym swoim uściskiem mogła zatrzymać jej ulatującą duszę. Rude włosy matki rozsypały się po poduszce. Zatrzepotała powiekami.

– Wezwij ojca, jeśli możesz – powiedziała cichym, słabnącym głosem, jakby życie właśnie z niej uchodziło.

Pobiegłam do drzwi, otworzyłam je, poleciłam jednej z Marie wezwać ojca, zatrzasnęłam drzwi i wróciłam do matki; koniec nadchodził jednak coraz szybciej. Popatrzyła na mnie załzawionymi oczami, z najczulszym uśmiechem, jaki widziałam.

– Troszczcie się o siebie nawzajem – powiedziała. – Tak bardzo kocham was oboje.

18 kwietnia 1778

Stałam się zimna. Błąkam się po pokojach, wdychając zapach stęchlizny, który nauczyłam się kojarzyć z jej chorobą, i wiem, że będę musiała rozsunąć zasłony, świeże powietrze wywieje zaduch, ale nie chcę tego robić, bo to będzie oznaczało, że matka odeszła, a nie mogę się z tym pogodzić.

Kiedy była chora, chciałam, by wyzdrowiała. Teraz, kiedy nie żyje, chcę tylko, by wróciła. Żeby z powrotem znalazła się w domu.

Rano patrzyłam z okna, jak na żwirowym podjeździe przed domem zatrzymują się trzy powozy, stangreci opuszczają schodki i ładują kufry. Niedługo potem zjawily się trzy Marie i zaczęły się całować na pożegnanie. Były ubrane na czarno, ocierały łzy. Płakały oczywiście po matce, ale była to chwilowa żałoba, z konieczności. Ich praca dobiegła bowiem końca, odebrały zapłatę i jechały opiekować się innymi umierającymi kobietami, odczuwać ten sam przemijający smutek po kolejnej podopiecznej.

Staralam się nie uważać ich odjazdu za nieprzyzwoicie pośpieszny. Staralam się nie mieć do nich żalu, że zostawiają mnie sam na sam z moją żałobą. Nie znały głębi mojego cierpienia. Matka wymusiła na ojcu obietnicę, że nie będziemy urządzać zwyczajowych rytuałów pogrzebowych, toteż zasłony na parterze pozostały rozsunięte, a mebli nie przykryto czarnymi tkaninami. Wśród służby byli tacy, którzy znali ją bardzo krótko albo wcale. Matka, którą pamiętałam, była piękna, pełna wdzięku i troskliwa, dla nich jednak pozostawała kimś obcym.

Nie była prawdziwą osobą, lecz chorującą panią w łóżku, a takie bywały w wielu domach. Ich żałoba była zaledwie ukłuciem smutku, jeszcze bardziej przelotnym niż w wypadku trzech Marie.

I tak dom żył dalej, niemal jakby nic się nie stało, tylko kilkoro z nas prawdziwie matkę opłakiwało – ci, którzy znali ją i kochali taką, jaka była. Spojrzałam w oczy Justine i zobaczyłam w nich odbicie swojego własnego cierpienia. Spośród całej służby tylko ona mogła wchodzić do pokoju matki podczas jej choroby.

– Och, *mademoiselle* – powiedziała. Targnął nią szloch.

Ujęłam ją za rękę i podziękowałam za wszystkie jej starania, zapewniając, że matka była jej głęboko wdzięczna za opiekę. Dygnęła, podziękowała mi za słowa otuchy i wyszła.

Byłyśmy jak dwie ocalałe z wielkiej bitwy, wzrokiem dzieliłyśmy się wspomnieniami.

Z osób, które opiekowały się konającą matką w rezydencji, pozostała tylko ona, ojciec i ja.

Od śmierci matki minęły dwa dni, a choć ojciec tulił mnie przy jej łóżku owej nocy, od tamtej pory go nie widziałam. Ruth mówi, że zamknął się w swoich pokojach i płacze, ale wkrótce odzyska siły i nie powinnam się o niego martwić, powinnam myśleć o sobie. Przytuliła mnie do piersi i głaskała moje plecy tak mocno, że niemal zabrakło mi tchu.

– Wyrzuć to z siebie, dziecko – szepnęła. – Nie duś tego w sobie.

Ale się wywinęłam, podziękowałam jej, powiedziałam, że to będzie wszystko, nieco wyniośle – tak jak May Carroll mówi pewnie do swojej służącej.

Chodzi o to, że nie mam czego z siebie wyrzucać. Nic nie czuję.

Nie mogąc znieść górnych piętér ani chwili dłużej, zaczęłam kręcić się po pałacu, przemierzać jego sale jak duch.

– Élise...

Arno stał na końcu korytarza z kapeluszem w ręku. Był zaczerwieniony jak po biegu.

– Przykro mi z powodu twojej matki, Élise.

– Dziękuję, Arno – odparłam. Korytarz między nami wydawał się zbyt długi. Arno przestępował z nogi na nogę. – Spodziewaliśmy się tego, nie jesteśmy zaskoczeni, a choć oczywiście ją opłakuję, jestem wdzięczna, że mogłam być przy niej do samego końca.

Pokiwał ze współczuciem głową, niezupełnie rozumiejąc, a ja wiedziałam dlaczego – bo w jego świecie nic się nie zmieniło. Dla niego zmarła pani, którą ledwie znał, mieszkająca w części domu, do której nie miał wstępu, i jego bliscy byli przez to smutni. Ale nic ponadto.

– Może później się pobawimy – powiedziałam. – Po lekcjach. Rozpromienił się.

„Pewnie tęskni za ojcem” – pomyślałam, odprowadzając go wzrokiem.

Ranek spędziłam z guwernerem. Spotkałam Arna ponownie, kiedy wchodził na swoje lekcje. Plan zajęć mieliśmy ułożony tak, że Arno uczył się, kiedy ja brałam lekcje szermierki u pana Weatheralla, toteż nigdy nie widział mnie ćwiczącej.

(Być może w swoim własnym pamiętniku któregoś dnia napisze o drogowskazach, prowadzących go do chwili własnego olśnienia. „Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, skąd tak świetnie umie władać szpadą...”)

Wyszłam tylnymi drzwiami i ruszyłam wzdłuż żywopłotu, aż dotarłam do lasu i skręciłam na ścieżkę, na końcu której czekał na mnie pan Weatherall. Siedział na pieńku w

bardzo wytwornej pozie, założywszy nogę na nogę i przerzuciwszy poły fraka za pieniek. O ile jednak wcześniej podrywał się na moje powitanie z iskrami w oczach i uśmiechem na ustach, o tyle teraz siedział ze spuszczoną głową, jakby przygięty jakimś ciężkim brzemieniem. Obok niego na pniu leżała skrzynka, niespełna półmetrowej długości i na dłoń szeroka.

– Powiedziano panu – rzekłam.

Oczy miał smutne i przygasłe. Zadrżała mu dolna warga i przez jedną przerażającą chwilę zastanawiałam się, co zrobię, jeśli pan Weatherall się rozplacze.

– Jak to znosisz? – zapytał.

– Spodziewaliśmy się tego – odparłam – i nie jesteśmy zaskoczeni, a choć oczywiście oplakuję ją, jestem wdzięczna, że mogłam być przy niej do samego końca.

Wręczył mi skrzynkę.

– Daję ci to z ciężkim sercem, Élise – rzekł ochryple. – Miała nadzieję dać ci to osobiście. Wzięłam podarek i zważyłam w dłoniach ciężkie drewno, wiedząc już, co jest w środku.

Istotnie, była to krótka szpada. Miała pochwę z miękkiej brązowej skóry, z białym szwem po bokach, oraz rzemienny pasek do zawiązywania na biodrach. Ostrze szpady połyskiwało nową stalą, jej rękojeść ciasno obciążnięto barwioną skórą. Przy jelicu widniała inskrypcja: „Niech cię prowadzi ojciec zrozumienia. Z wyrazami miłości, matka”.

– To zawsze miał być twój pożegnalny prezent, Élise – powiedział głucho pan Weatherall, odwracając się w stronę drzew i ukradkiem wycierając kciukiem oczy. – Masz się nim wprawiać.

– Dziękuję – powiedziałam, a on wzruszył ramionami. Pragnęłam przenieść się w przyszłość, do chwili, kiedy szpada sprawi mi radość. Teraz bowiem nie czułam nic.

Zapadła długa cisza. Zrozumiałam, że dziś nie będziemy ćwiczyć. Żadne z nas nie miało do tego serca.

Po chwili pan Weatherall się odezwał:

– Czy mówiła coś o mnie? To znaczy, wtedy, na końcu.

Ledwie udało mi się ukryć zaskoczenie; dostrzegłam w jego oczach rozpacz i nadzieję.

Wiedziałam, że żywił do matki głębokie uczucie, ale aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkie.

– Prosiła, bym panu przekazała, że w sercu zawsze skrywała miłość do pana i że była dozgonnie wdzięczna za wszystko, co pan dla niej uczynił.

Pan Weatherall kiwnął głową.

– Dziękuję, Élise, to wielka pociecha – rzekł, odwrócił się i otarł łzy z oczu.

Później zostałam wezwana do ojca. Usiedliśmy oboje na szeslongu w jego pograżonym w półmroku gabinecie. Objął mnie i mocno przytulił. Ogolił się i wyglądał zupełnie zwyczajnie, ale słowa wymawiał powoli i z wysiłkiem, a w jego oddechu czuć było brandy.

– Widzę, że jesteś silna, Élise – rzekł. – Silniejsza niż ja.

Oboje nas przepęłniał tępy ból. Prawie zazdrościłam ojcu tego, że potrafił się mu poddać.

– Spodziewaliśmy się tego – zaczęłam, ale nie zdołałam dokończyć, bo ramiona mi zadrżały, ścisnęłam ojca dygoczącymi rękami, pozwalając mu się utulić.

– Wyrzuc to z siebie, Élise – powiedział i pogładził mnie po włosach. Posłuchałam go. Wyrzuciłam to z siebie i w końcu zaczęłam płakać.

Wyjątek z diariusza Arna Dorigana

12 września 1794

Z poczuciem winy odłożyłem jej pamiętnik, nie mogąc znieść cierpienia, jakie było z jego kart. Ze zgrozą zdałem sobie sprawę z własnego wkładu w jej udrękę.

Élise ma rację. Śmierć *madame* wcale mnie nie obeszła. Dla samolubnego małego chłopca, jakim wtedy byłem, był to zaledwie powód, który nie pozwalał François i Élise bawić się ze mną. Niedogodność, która oznaczała, że dopóki sprawy nie wrócą do normy – tu Élise miała słuszość, dom nie pogrzyżył się w żałobie i wrócił do normalnego funkcjonowania dość szybko – musiałem sam znajdować sobie rozrywki.

Tyle właśnie, ku mojemu zawstydzeniu, znaczyła dla mnie śmierć *madame*. Ale byłem wtedy zaledwie dziesięcioletnim chłopcem.

Ha, Élise także miała tylko dziesięć lat, a mimo to tak bardzo przewyższała mnie inteligencją. Pisze o naszych lekcjach u guwernera – jakże musiał jęczeć w duchu, kiedy przychodziła moja kolej. Musiał odkładać podręczniki Élise i z ciężkim sercem sięgać po prostsze wersje dla mnie.

Przy tym jednak, dorastając tak szybko – teraz rozumiem, że tak ją wychowywano, by szybko dorosła – Élise musiała żyć z ciężkim brzemieniem. A przynajmniej tak odczytuję te karty. Dziewczynka, którą znałem, była tylko dzieckiem, skorym do zabaw i psot, owszem, prawie siostrą. Wymyślała najlepsze zabawy; szybko znajdowała wymówki, kiedy odkrywano nas tam, gdzie nie wolno nam się było zapuszczać, albo kiedy kradliśmy jedzenie z kuchni czy płataliśmy inne figle, które akurat obmyśliła.

Nic więc dziwnego, że kiedy wysłano ją do szkoły Maison Royale de Saint-Louis w Saint-Cyr, by dokończyła nauki, wpadła w tarapaty. Żadna z dwóch przeciwstawnych stron jej osobowości nie pasowała do szkolnego życia i jak łatwo przewidzieć, Élise nie znosiła Maison Royale. Nienawidziła. Choć szkoła leżała niespełna trzydzieści kilometrów od Wersalu, równie dobrze mogła znajdować się w innym kraju – tak Élise odczuwała dystans między swoim dawnym a obecnym życiem. W listach nazywała ją *Le Palais de la Misère*. Odwiedziny w domu były ograniczone do trzech tygodni latem i kilku dni na Boże Narodzenie, przez resztę roku musiała poddawać się dyscyplinie Maison Royale. Élise źle znosiła rygory, jeżeli jej nie odpowiadały. Rygor nauki szermierki z panem Weatherallem był

bardzo w jej guście; w rygorze szkoły zupełnie się nie odnajdywała. Nie znosiła ograniczeń szkolnego życia. Nie znosiła konieczności nauki „umiejętności”, takich jak haftowanie czy muzyka, toteż jej dziennik wypełniają niezliczone akapity opisujące tarapaty, w które wpadała. Kolejne wpisy zaczynają się powtarzać – to całe lata goryczy i frustracji.

W szkole pracę zorganizowano tak, że podzielono dziewczęta na grupy i w każdej wybrano przełożoną. Oczywiście Élise starła się z przełożoną swojej grupy, Valerie, i dziewczyny zaczęły się bić. Naprawdę się biły. Czytam, zasłaniając dłonią usta, nie wiedząc chwilami, czy mam się śmiać z jej śmiałości, czy być nią wstrząśnięty.

Raz za razem Élise stawała przed zniechęconą dyrektorką, *madame* Levene, by się wytłumaczyć i ponieść karę.

I raz za razem reagowała bezczelnością, pogarszając swoją sytuację i zwiększając surowość kar. A im bardziej surowe były kary, tym bardziej Élise się buntowała; im bardziej zaś się buntowała, tym częściej wzywano ją przed oblicze dyrektorki, tym bardziej stawała się bezczelna i tym surowiej ją karano...

Wiedziałem oczywiście, że często wpadała w tarapaty, bo choć rzadko się wtedy widywaliśmy – z okna gabinetu guwernera podczas jej krótkich wakacji smutno do siebie machaliśmy – prowadziliśmy regularną korespondencję. Byłem sierotą, do którego nikt wcześniej nie pisał, i wrażenie, jakie zrobiły na mnie listy od Élise, nigdy nie wyblakło.

Pisała, rzecz jasna, o swojej nienawiści do szkoły, ale jej korespondencja nie była tak szczegółowa jak pamiętnik, pulsujący pogardą dla innych uczennic, dla nauczycielek i *madame* Levene. Nawet pokaz fajerwerków dla uczczenia stulecia szkoły w 1786 roku nie poprawił jej humoru. Ponoć sam król wyszedł na taras wersalskiego pałacu, by obejrzeć widowisko, ale Élise to nie wystarczyło. Z jej dziennika było poczucie niesprawiedliwości i zmagania z otaczającym światem – stronica po stronicy, rok po roku moja miłość pozostawała ślepa na błędne koło, w którym się zamknęła. Każda kartka uświadamiała mi, że nie pojmowała, iż to, co robiła, nie było buntem, lecz żalobą.

Czytając dalej, zacząłem zaś odkrywać, że skrywała przede mną coś jeszcze...

Wyjątki z diariusza Élise de La Serre

8 września 1787

Przyjechał dziś do mnie ojciec. Wezwano mnie do gabinetu *madame* Levene na spotkanie z nim i nie mogłam się już doczekać, ale oczywiście stara wiedźma nie wyszła – takie były zasady *Le Palais de la Misère*, toteż wizyta przebiegała jak przed publicznością. *Madame* Levene siedziała pod oknem, z którego rozciągał się oszałamiający – nawet ja musiałam to przyznać – widok na szkolne ogrody, splecione ręce oparła na biurku i z zimnym uśmiechem przyglądała się ojcu i mnie, siedzącym po drugiej stronie – skrępowanemu mężczyźnie i jego niesfornej córce.

– Miałem nadzieję, że droga ku zakończeniu twojej edukacji będzie raczej pełnym wdziękiem galopem niż kuśtykaniem, *Élise* – oznajmił z westchnieniem.

Wydawał się stary i znużony; wyobrażałam sobie wiszące nad nim jazgoczące kruki, bezustannie nalegające: „zrób to, zrób tamto”, a jakby tego było mało, jego córka stała się tematem gniewnych listów, słanych do domu przez *madame* Levene, bardzo szczegółowo opisującą moje rozliczne wady.

– Życie we Francji wciąż jest ciężkie, *Élise* – ciągnął. – Dwa lata temu mieliśmy suszę i najgorsze zbiory za ludzkiej pamięci. Król polecił wybudować mury wokół Paryża. Chciał podnieść podatki, ale *parlement* w Paryżu poparł możnych, którzy się mu sprzeciwili. Nasz dzielny i niezłomny monarcha spanikował, wycofał podatki i ludzie wyszli świętować na ulice. Żołnierze, którym kazano strzelać do tłumu, odmówili wykonania rozkazu...

– Moźni sprzeciwili się królowi? – spytałam, unosząc brew. Ojciec przytaknął.

– W istocie. Kto by pomyślał? Może mają nadzieję, że prosty lud będzie im wdzięczny i wróci do domów.

– Ale ty tak nie sądzisz?

– Obawiam się, że nie, *Élise*. Lękam się, że kiedy prosty lud pozna smak siły, potencjalnej siły tłumu, nie zadowolony się wycofaniem jakichś nowych podatków. Uważam, że z tych ludzi może się zacząć wylewać wieloletnia frustracja. Kiedy ciskali petardami i kamieniami w *Palais de Justice*, nie wspierali możnych. Tak samo jak wtedy, gdy palili kukły wicehrabiego de Calonne.

– Palili kukły? Generalnego kontrolera finansów? Ojciec kiwnął głową.

– Tak. Został zmuszony do opuszczenia kraju. Inni ministrowie także. Wybuchną niepokoje, Élise, zapamiętaj moje słowa.

Milczałam.

– Co doprowadza nas do kwestii twojego zachowania w szkole – podjął. – Jesteś już uczennicą starszej klasy. Damą. I powinnaś zachowywać się stosownie.

Pomyślałam, że mundurek uczennicy starszej klasy Maison Royale wcale nie sprawia, że można poczuć się kobietą. Czułam się w nim jak przebieraniec. Kobietą mogłam się poczuć dopiero po szkole, kiedy zrzucałam znienawidzoną, sztywną od krochmalu suknię, rozpuszczałam włosy i pozwalałam im opaść na niedawno zyskane piersi. Kiedy patrzyłam w lustro i widziałam w nim swoją matkę.

– Piszesz do Arna – powiedział ojciec, jakby chcąc spróbować innego podejścia.

– Nie czytujesz chyba moich listów, prawda?

Przewrócił oczami.

– Nie, Élise, nie czytuję twoich listów. Na Boga, za kogo ty mnie masz?

Spuściłam wzrok.

– Przepraszam, ojcze.

– Jesteś tak zajęta buntowaniem się przeciwko każdej zwierzchności, że zapomniałaś już, kto jest twoim przyjacielem, tak?

Madame Levene za biurkiem z powagą pokiwała głową.

– Przepraszam, ojcze – powtórzyłam, nie zwracając na nią uwagi.

– Fakt pozostaje faktem, że pisujesz do Arna, i wnioskuje tylko z tego, co mi powiedział, nie zrobiłaś nic, by wypełnić naszą umowę.

Rzucił znaczące spojrzenie dyrektorce, lekko unosząc brwi.

– O jakiej umowie mówisz, ojcze? – spytałam niewinnie. Ojciec jeszcze raz wskazał ruchem głowy naszą publiczność.

– Tę – dodał znacząco – którą zawarliśmy przed twoim wyjazdem do Saint-Cyr. Kiedy zapewniłaś mnie, że zrobisz, co w twojej mocy, by przekonać Arna, iż powinien zostać przez nas adoptowany.

– Przykro mi, ojcze, wciąż niezupełnie pojmuję, co masz na myśli.

Jego twarz pociemniała. Westchnął głęboko i odwrócił się do dyrektorki.

– Zastanawiam się, *madame*, czy mógłbym pomówić z córką na osobności.

– Obawiam się, że to wbrew zasadom akademii, *monsieur* – odparła z przesłodzonym uśmiechem. – Rodzice i opiekunowie pragnący spotkać się z uczennicami na osobności muszą złożyć prośbę na piśmie.

– Wiem, ale...

– Przykro mi, *monsieur* – powtórzyła z naciskiem. Ojciec zabębnił palcami w udo.

– Élise, proszę, nie utrudniaj. Wiesz dobrze, co mam na myśli. Zanim wyjechałaś do szkoły, zgodziliśmy się, że przyszła pora przyjąć Arna na łono naszej rodziny.

Spojrzał na mnie wymownie.

– Ale on jest członkiem innej rodziny – odparłam jakby nigdy nic.

– Nie drażnij się ze mną, Élise.

Madame Levene prychnęła.

– My już do tego przywykliśmy, *monsieur*.

– Dziękuję, *madame* Levene – uciął ojciec z wyraźną irytacją.

Kiedy jednak odwrócił się znów do mnie, spojrzeliśmy sobie w oczy i dzielący nas chłód częściowo znikł; usta ojca drgnęły nawet w powściąganym uśmiechu. Rzuciłam mu swoje najbardziej niewinne spojrzenie, a na jego twarzy odmalowało się uczucie.

– Élise – odezwał się z powagą – jestem zupełnie pewny, że nie muszę ci przypominać o warunkach naszej umowy. Dość powiedzieć, że jeśli dalej będziesz je łamać, będę zmuszony wziąć sprawy w swoje ręce.

Zerknęliśmy oboje ukradkiem na *madame* Levene, która siedziała z rękami splecionymi na biurku, starając się z całych sił nie zdradzić swojego zmieszania – bezskutecznie. Niewiele brakowało, abym wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Masz na myśli, że ty spróbujesz przekonać go do adopcji, ojczy? Ojciec spoważniał i popatrzył na mnie.

– Tak.

– Nawet jeśli stracisz w ten sposób jego zaufanie?

– To ryzyko, które będę musiał podjąć, Élise – odparł. – O ile nie zrobisz tego, na co się umówiliśmy.

A umówiliśmy się, że będę Arna indoktrynować. Przeciągnę go na naszą stronę. Zrobiło mi się ciężko na sercu na myśl, że przez to w pewien sposób go stracę. Musiałam jednak to uczynić, inaczej ojciec zająłby się tym sam. Wyobraziłam sobie Arna, jak wściekły wyrzuca mi to któregoś dnia w przyszłości – „Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?” – i nie mogłam tej myśli znieść.

– Zrobię, jak się umówiliśmy, ojczy.

– Dziękuję.

Odwróciliśmy się do *madame* Levene, która wymownie zmarszczyła brwi.

– I pamiętaj, że masz poprawić swoje zachowanie – dodał szybko ojciec, po czym

klepnął dłońmi w uda; z doświadczenia wiedziałam, że oznacza to koniec naszego spotkania.

Grymas dyrektorki pogłębił się, kiedy zamiast dalej mnie upominać, ojciec wstał i wziął mnie w ramiona, zaskakując siłą swojego uczucia.

Wtedy właśnie postanowiłam, że się poprawię – dla niego. Odwdzięczę mu się i będę córką, na jaką zasługiwał.

8 stycznia 1788

Czytając wpis z 8 września 1787, nie mogę powstrzymać ukłucia wstydu; napisałam:

„Odwdzięczę mu się i będę córką, na jaką zasługiwał”, po czym...

...niczego takiego nie zrobiłam.

Nie dość, że nie przekonałam Arna do korzyści płynących z przejścia na stronę templariuszy (po części dlatego, że w moim buncie sama się zastanawiałam, czy takie korzyści faktycznie istnieją), to jeszcze moje zachowanie w Maison Royale bynajmniej się nie poprawiło.

Zupełnie się nie poprawiło. Zdecydowanie się pogorszyło.

Na przykład nie dalej jak wczoraj *madame* Levene wezwała mnie do swojego gabinetu, po raz trzeci w ciągu ostatnich trzech tygodni. Ile razy już wędrowałam tam przez te lata? Setki?

Za bezczelność, bójki, wykradanie się nocą (och, jak uwielbiałam wykradać się nocą, tylko ja i rosa na trawie), za picie, za zakłócanie porządku, za niechlujstwo czy za swoje ulubione „uporczywe złe zachowanie”.

Nikt nie znał drogi do gabinetu *madame* Levene tak dobrze jak ja. Nie było na świecie żebraka, który częściej niż ja wyciągałby rękę. Nauczyłam się czekać na ciosy trzciny, nawet się nimi cieszyć. Nie mrugać, kiedy zostawiała swoje piętno na mojej skórze.

Tym razem także odbyło się to dokładnie tak, jak się spodziewałam – kolejne konsekwencje awantury z Valerie, która oprócz przewodzenia naszej grupie była także gwiazdą wystawianych przez nas przedstawień Racine’a i Corneille’a. Weź sobie do serca moją radę, drogi czytelniku, i nigdy nie wybieraj za przeciwnika aktorki. Są we wszystkim strasznie teatralne. Jak by to ujął pan Weatherall: „Co za przeklęte histeryczki!”.

Owszem, ta konkretna zwada zakończyła się dla Valerie podbitym okiem i krwotokiem z nosa. Byłam wówczas na cenzurowanym za drobny bunt przy obiedzie miesiąc wcześniej; to drobiazg, o którym nie warto się tu rozpisywać, w każdym razie dyrektorka oznajmiła, że jest u kresu wytrzymałości. „Mam cię po dziurki w nosie, Élise de La Serre. Po same dziurki, młoda damo”.

Jak zwykle, oczywiście, pojawiły się groźby wyrzucenia mnie. Tyle że tym razem byłam przekonana, iż nie są to już czcze pogrożki. Kiedy *madame* Levene powiedziała, że zamierza wysłać do mojego ojca utrzymany w ostrym tonie list, domagający się przedyskutowania kwestii mojej przyszłości w Maison Royale, nie była to już pusta gadanina; dyrektorce istotnie skończyła się cierpliwość.

Ale mnie to wciąż nie obchodziło.

Czy raczej – nie obchodzi. Rób, co chcesz, Levene; rób, co chcesz, ojczu. Nie możecie zesłać mnie do gorszego kręgu piekła niż ten, w którym już jestem.

– Dostałam list z Wersalu – rzekła dyrektorka. – Twój ojciec przysyła kogoś, kto ma się tobą zająć.

Wyglądałam akurat przez okno, wędrując wzrokiem na zewnątrz, za mury Maison Royale, gdzie pragnęłam się znaleźć. Teraz jednak odwróciłam się do *madame* Levene; spojrzałam na jej ściągniętą, pomarszczoną twarz, na oczy niczym kamyki za szklami okularów.

– Przysyła kogoś?

– Tak. Z tego, co napisano w liście, ów ktoś ma za zadanie wbić ci trochę rozumu do głowy.

„Wysłannik? – pomyślałam. – Ojciec przysyła wysłannika. Nie przyjeżdża nawet sam, tylko kogoś wysyła”. Może planował mnie odtrącić – nagle dotarło do mnie, jaki byłby to dla mnie straszny cios. Mój ojciec, jedna z trzech osób na świecie, które naprawdę kochałam i którym ufałam, miałby mnie od siebie odsunąć. Myliłam się. Istniał jednak gorszy krąg piekieł, do którego mogłam trafić.

– Owszem – tryumfowała *madame* Levene. – Twój ojciec jest najwyraźniej zbyt zajęty, by zająć się tą sprawą osobiście. Musiał przysłać zastępcę. Być może, Élise, nie jesteś dla niego aż tak ważna, jak ci się zdawało.

Spojrzałam na nią ostro i przez krótką chwilę wyobrażałam sobie, że rzucam się nad biurkiem, by zetrzeć ten kpiący uśmiešek z jej twarzy. W mojej głowie jednak powstawał już inny plan.

– Wysłannik chce się z tobą widzieć na osobności – rzekła.

Obie wiedziałyśmy, co to oznacza. Mam zostać ukarana. I to ukarana fizycznie.

– Spodziewam się, że będzie pani podsłuchiwać pod drzwiami. Zaciśnieła usta. Jej zimne oczy załśniły.

– Uraduje mnie świadomość, że w końcu płacisz cenę za swoją impertynencję, *mademoiselle* de La Serre, możesz być tego pewna.

21 stycznia 1788

I oto nadszedł dzień przyjazdu wysłannika. Przez cały tydzień unikałam kłopotów.

Według innych dziewcząt zachowywałam się ciszej niż zwykle. Niektóre pytały, kiedy wróci „dawna Élise”; moje główne rywalki tryumfowały, że w końcu zostałam poskromiona. Zobaczymy.

Tak naprawdę przygotowywałam swoje ciało i umysł. Wysłannik będzie się spodziewał, że zostanie potulną, zahukaną nastolatką, lękającą się wydalenia ze szkoły i gotową znieść każdą karę, byle do tego nie dopuścić. Będzie się spodziewał łez i skruchy.

Nie dam mu tej satysfakcji.

Wezwano mnie do gabinetu dyrektorki i kazano czekać. Czekałam więc, ściskając torebkę, w której ukryłam podkowę, „pożyczoną” znad drzwi dormitorium. Nigdy dotąd nie przyniosła mi szczęścia, teraz miała szansę się wykazać.

Z westybulu dobiegły mnie dwa głosy: *madame* Levene służalczo i przymilnie powitała wysłannika ojca i powiedziała mu: „Ta niegodziwa dziewczyna czeka na zasłużoną karę w moim gabinecie, *monsieur*”, na co ten odparł niskim, chrapliwym głosem: „Dziękuję, *madame*”.

Rozpoznałam ten głos. Zszokowana, wciąż zakrywałam usta dłonią, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł pan Weatherall.

Zamknął za sobą drzwi, a ja rzuciłam mu się na szyję z taką siłą, że aż stracił oddech. Wstrząsnął mną szloch, nad którym nie zdołałam zapanować. Łkałam mu w pierś i jedno wam powiem – nigdy w życiu nie cieszyłam się tak na czyjś widok jak wtedy.

Staliśmy tak przez chwilę; płakałam bezgłośnie w objęciach swojego protektora, aż w końcu zapanowałam nad sobą. Odsunął mnie na wyciągnięcie ramion, spojrzął w oczy, po czym przykładając palec do ust, rozpiął frak, zdjął go i zawiesił na haczyku przy drzwiach w taki sposób, żeby zasłonił dziurkę od klucza.

– Płacz, płacz, *mademoiselle* – powiedział głośno przez ramię. – Twój ojciec bowiem jest zbyt wściekły, by zająć się tą sprawą osobiście. Tak jest rozeźlony, że kazał mi, twojemu guwernerowi – tu puścił do mnie oko – wymierzyć ci karę w swoim zastępstwie. Najpierw

jednak napiszesz do niego list z kornymi przeprosinami. Potem zaś cię ukarzę i bądź pewna, że będzie to najsurowsza kara, jaką kiedykolwiek poniosłaś.

Zaprowadził mnie do szkolnej ławki w kącie gabinetu, przy której usiadłam z papierem, piórem i kałamarzem na wypadek, gdyby dyrektorka znalazła pretekst, by wejść. Potem pan Weatherall przysunął sobie krzesło, oparł łokcie na blacie i zaczęliśmy szeptem rozmawiać.

– Cieszę się, że pana widzę – powiedziałam. Zaśmiał się cicho.

– Wcale mnie to nie dziwi. W końcu spodziewałaś się, że dostaniesz srogie manto.

– Przeciwnie – odparłam, rozchylając torebkę i pokazując podkowę – miało być odwrotnie.

Pan Weatherall ściągnął brwi. Nie takiej reakcji oczekiwałam.

– I co potem, Élise? – szepnął gniewnie, stukając przy tym palcem w blat. – Zostałabyś wydalona z Maison Royale. Twoje wykształcenie opóźnione. Przyjęcie do Zakonu opóźnione. Nominowanie na wielką mistrzynię opóźnione. Co zamierzałaś w ten sposób wskórać, hm?

– Zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Nie obchodzi cię, tak? Nie obchodzi cię już ojciec?

– Cholernie dobrze pan wie, że to nieprawda.

Prychnął, słysząc z moich ust przekleństwo.

– Cholernie dobrze wiem, że zależy ci też na matce. I na dobrym imieniu rodziny, skoro o tym już mowa. To dlaczego tak się zawzięłaś, żeby je zszargać? Dlaczego robisz wszystko, żeby nigdy nie zostać wielką mistrzynią?

– Zostać wielką mistrzynią to moje przeznaczenie – odparłam, uświadamiając sobie z nieprzyjemnym ukłuciem, że zachowuję się jak May Carroll.

– Przeznaczenie może się zmienić, dziecko.

– Nie jestem już dzieckiem – przypomniałam mu. – Mam dwadzieścia lat. Pan Weatherall posmutniał.

– Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem, Élise. Nie zapominaj, że pamiętam małą dziewczynkę, która uczyła się szermierki w lesie. Najlepszą uczennicę, jaką miałem, ale też najbardziej impulsywną. Trochę zbyt pewną siebie. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Wciąż ćwiczysz fechtunek?

– Tutaj? – prychnęłam. – Niby jak miałabym to zrobić? Udał zastanowienie.

– Ha, pomyślmy – odparł z sarkazmem. – Może na przykład, nie robiąc wokół siebie tyle szumu, by nie pilnowano cię na każdym kroku i byś mogła co jakiś czas się wymknąć,

zamiast bez przerwy być w centrum uwagi. Szpada, którą dostałaś od matki, miała służyć właśnie do tego.

– No więc nie – rzekłam z poczuciem winy. – Jak pan wie, nie robiłam tego.

– Toteż zaniedbałaś swoje umiejętności.

– To po co wysłano mnie do szkoły, w której musiało do tego dojść?

– Sęk w tym, że wcale nie musiało. Nie powinnaś była do tego dopuścić. Masz zostać wielką mistrzynią.

– Cóż, według pana słów to się może zmienić – odparowałam z poczuciem, że zadaję celny cios.

Pan Weatherall nie dał się zbić z tropu.

– I zmieni się, jeśli nie weźmiesz się w karby i nie odmienisz swojego postępowania. Ta zgraja, którą nazywasz krukami, panowie Lafrenière, Le Peletier i Sivert oraz *madame Levesque*, tylko czekają, aż powinie ci się noga. Wydaje ci się, że w Zakonie wszyscy cię kochają? Że będą ci sypać kwiaty pod nogi, koronując cię na swoją „prawowitą królową” jak w książkach o dawnych dziejach? Nic bardziej mylnego. Każda z tych osób pragnie zakończyć rządy rodziny La Serre i zapewnić tytuł wielkiego mistrza swojemu rodowi. I szukają pretekstu, by obalić twojego ojca. Mają inne cele niż on, pamiętasz? Ich lojalność wisi na włosku. Zbuntowana córka to ostatnia rzecz, jakiej twój ojciec potrzebuje. Poza tym...

– Co?

Pan Weatherall obejrzał się na drzwi. *Madame Levene* bez wątpienia przyciskała do nich ucho i to z myślą o niej właśnie rzekł głośno:

– I niech to będzie napisane najschludniej, jak umiesz, *mademoiselle!* Nachylił się do mnie z powrotem.

– Bez wątpienia pamiętasz tych dwóch mężczyzn, którzy was zaatakowali?

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Cóż... – ciągnął pan Weatherall. – Obiecałem twojej matce, że znajdę jegomościa w przebraniu doktora, i chyba go mam.

Popatrzyłam na niego znacząco.

– Owszem, przyznaję – zgodził się. – Trochę to trwało. Ale najważniejsze, że go znalazłem.

Siedzieliśmy nachyleni do siebie tak blisko, że nasze twarze prawie się stykały. W jego oddechu czuć było wino.

– Kto to? – spytałam.

– Nazywa się Ruddock i rzeczywiście jest asasynem, a przynajmniej nim był. Został ekskomunikowany przez swój Zakon i od tamtej pory próbuje do niego wrócić.

– Dlaczego go ekskomunikowali?

– Szargał ich dobre imię. Podobno lubił hazard, tyle że nie był typem szczęściarza.

Wszyscy zgodnie twierdzą, że tkwi po uszy w długach.

– Czy mógł mieć nadzieję, że zabijając matkę, zyska przychyłność swojego Zakonu? Pan Weatherall popatrzył na mnie z podziwem.

– To możliwe, choć wydaje mi się, że byłoby to z jego strony głupie posunięcie. Zabijając swoją matkę, mógł ściągnąć na siebie jeszcze większą hańbę. Nie miał pewności. – Potrząsnął głową. – Być może chciał poczekać, jak zabójstwo zostanie odebrane, a potem przypisać je sobie. Ale nie, nie sądzę. Wygląda to tak, jakby oferował swoje usługi temu, kto da więcej, by pozbyć się swoich długów. Moim zdaniem nasz przyjaciel Ruddock był wolnym strzelcem.

– A więc to nie asasyni stali za tym zamachem?

– Niekoniecznie.

– Powiedział pan o tym kruków? Pan Weatherall pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

Zrobił wymijającą minę.

– Twoja matka miała pewne... podejrzenia wobec kruków.

– Jakie podejrzenia?

– Pamiętasz niejakiego François Thomasa Germaina?

– Chyba nie.

– Groźnie wyglądający typ. Kręcił się koło twojej rodziny, kiedy ledwie co od ziemi odrosłaś.

– Kiedy co?

– Nieważne. Ten François Thomas Germain był adiutantem twojego ojca. Miał kilka szemranych pomysłów i ojciec wyrzucił go z Zakonu. Teraz już nie żyje. Ale twoja matka zawsze się zastanawiała, czy kruki mu nie sprzyjały.

Wzdrygnęłam się, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszałam.

– Nie sądzi pan chyba, że doradcy ojca uknuli zabójstwo matki?

Owszem, nienawidziłam kruków, ale nienawidziłam także *madame* Levene, a nie wyobrażałam sobie, by planowała spisek na moje życie. Brzmiało to zbyt absurdalnie.

– Śmierć matki byłaby im na rękę – odparł pan Weatherall. – Kruki nominalnie były doradcami twojego ojca, ale po przepędzeniu Germaina służył przede wszystkim jej, bardziej

nawet niż ich. Gdyby jej zabrakło...

– Ale przecież zabrakło. Nie żyje, a mój ojciec pozostał wierny swoim poglądom.

– Nie sposób powiedzieć na pewno, co się dzieje, Élise. Może okazał się mniej podatny na sugestie, niż sądzono.

– Nie, wciąż w to nie wierzę – odparłam, kręcąc głową.

– Nie wszystko zawsze ma sens, skarbie. Nie miało sensu, żeby asasyni zasadzali się na twoją matkę, a mimo to wszyscy od razu w to uwierzyli. Nie, póki nie zdobędę dowodów, pozostanę podejrzliwy; jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamierzam postępować ostrożnie do czasu, aż wszystko się wyjaśni.

Poczułam w sobie dziwną pustkę, miałam wrażenie, że odsunięto jakąś kurtynę, odsłaniając skrywane za nią niejasności. W naszych szeregach mogli być ludzie, którzy źle nam życzyli. Musiałam się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

– A ojciec?

– Co z nim?

– Powiedział mu pan o swoich podejrzeniach?

Pan Weatherall wbił wzrok w stół i pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego?

– Cóż, po pierwsze dlatego, że to tylko podejrzenia, do tego, jak sama zauważyłaś, bardzo śmiałe. Jeśli to nieprawda, a najpewniej tak jest, wyjdę na skończonego durnia; jeśli zaś prawda, ostrzegę ich tylko, a oni, śmiejąc się do rozpuku, bo nie mam najmniejszych dowodów, zaplanują, jak się mnie pozbyć. Poza tym...

– Co?

– Po śmierci twojej matki, Élise, nie sprawowałem się najlepiej – przyznał. – Można powiedzieć, że wróciłem do dawnych nałogów, paląc przy tym mosty, które zbudowałem między sobą i innymi templariuszami. Pod pewnymi względami jestem podobny do Ruddocka.

– Rozumiem. Dlatego czuję wino w pana oddechu, tak?

– Każdy radzi sobie, jak umie, dziecko.

– Ona zmarła prawie dziesięć lat temu, panie Weatherall. Zaśmiał się krótko, ponuro.

– Twoim zdaniem przesadzam z żalobą, tak? Cóż, mogę powiedzieć to samo o tobie, trwonisz ostatnie lata swojej edukacji, przysparzasz sobie wrogów, zamiast zyskiwać przyjaciół i kontakty. Nie osądzaj innych, Élise, dopóki sama się nie doprowadzisz do porządku.

Zmarszczyłam brwi.

jękach?! Wyobrażałam sobie, jak *madame* Levene przeklina, że wszystko to dzieje się poza jej wzrokiem.

Po wszystkim wspomniałam matkę, by zmusić się do płaczu; odłożyliśmy trzinę oraz poduszkę i otworzyliśmy drzwi. *Madame* Levene stała w korytarzu, nieco dalej. Zrobiłam minę kogoś, kto właśnie został ukarany, rzuciłam jej ponure spojrzenie zażawionych oczu i ze spuszczoną głową, opierając się pokusie, by puścić oko panu Weatherallowi, czmychnęłam, jakby chcąc wylizać się z ran.

W rzeczywistości miałam sporo spraw do przemyślenia.

Dodała, że otrzymam list dziś po południu. Wstałam do wyjścia, upokorzona, przygnieciona brzmieniem wstydu. Przy samych drzwiach *madame* Levene mnie zatrzymała.

– Jeszcze jedno, Élise. Jacques nie jest moim kochankiem. To mój syn. Matka nie byłaby chyba ze mnie w tej chwili zbyt dumna.

Głos jej drżał. – Mam u panienki dozwonny dług. Jestem teraz panienki własnością.

– Co?!

Opuściłam broń i odwróciłam się do niej.

– Nie, nie masz i nie jesteś. Wracaj do swoich.

– Nie mam żadnych swoich. Należę do pani, *mademoiselle* – oznajmiła z przekonaniem, jakiego nigdy jeszcze nie spotkałam.

– To chyba załatwia sprawę – rzekł Byron Jackson za mną. Popatrzyłam na nich oboje, oniemiała.

I tak oto zdobyłam służącą i kapitana.

Byron Jackson, jak się okazało, w istocie był przemytnikiem, Anglikiem pozującym na Francuza. Ładował swój stateczek, „Babunię Smith”, herbatą, cukrem i wszystkim innym, co w jego kraju obłożone było wysokimi podatkami, płynął do wschodnich wybrzeży Anglii, a potem sposobem, który nazywał „czarodziejskim”, szmuglował to pod nosem celników.

Hélène natomiast była wieśniaczką; oboje rodzice zmarli na jej oczach, wyruszyła więc do Calais w nadziei znalezienia ostatniego żyjącego krewnego, wuja Jeana. Myślała, że rozpocznie u niego nowe życie, on jednak sprzedał ją Pośrednikowi. Pośrednik zaś z pewnością będzie chciał odzyskać swoje pieniądze, które wuj Jean natychmiast wydał, toteż Hélène byłaby w kłopotach, gdyby została. Zgodziłam się więc uznać ją za swoją dłużniczkę i w trójkę wypłynęliśmy z Calais. „Babunia Smith” jest małym dwumasztowym szkunerem – na pokładzie jest nas tylko troje – ale solidnym i niezwykle przytulnym.

Słyszę właśnie, że podają kolację. Nasz uprzejmy gospodarz obiecał nam obfitą ucztę.

Mówi, że ma dość jedzenia dla nas wszystkich na całe dwa dni rejsu.

gospodarzy siedzących przy stole i spożywających obfity posiłek: państwa Carrollów, rozdziawiających w zaskoczeniu usta, May Carroll, która klasnęła z radością w dłonie i zapięła sarkastycznie: „O, Śmierdziel!” – w moim nastroju niewiele brakowało, bym podeszła i wymierzyła jej za to policzek – oraz pana Weatheralla, który wstał z krzesła, poczerwieniał i ryknął:

– Do stu diabłów, co ty tu robisz?!

11 lutego 1788

Mój protektor dał mi kilka dni na oswojenie się z sytuacją, ale dziś rano przyszedł ze mną porozmawiać. Pożyczyłam ubranie od May Carroll, która nie omieszkała mi powiedzieć, że są to sukienki „stare” i „dość już niemodne” i że raczej nie zamierzała ich nosić w tym sezonie, „ale dla ciebie będą w sam raz, Śmierdzielu”.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, to cię zabiję – obiecałam.

– Słucham?

– Nic takiego. Dziękuję za sukienki. – Istotnie byłam jej wdzięczna. Na szczęście odziedziczyłam po matce pogardę dla mód, toteż choć sukienki miały bez wątpienia mnie rozdrażnić, nic takiego się nie stało.

Drażni mnie za to May Carroll.

Hélène tymczasem poznawała tajniki życia w kuchni, odkrywając, że służący zadzierają nosa jeszcze bardziej niż arystokracja. Trzeba przy tym dodać, że nie wychodziło jej zbyt dobrze udawanie mojej służącej – dygała niezgrabnie w przypadkowych sytuacjach, cały czas rzucając mi przerażone spojrzenia. Bez wątpienia czekało nas z nią jeszcze wiele pracy. Carrollowie na szczęście byli tak aroganccy i zadufani w sobie, iż założyli po prostu, że Hélène jest „typową Francuzką”, i temu przypisywali jej naiwność.

Wtem do drzwi zapukał pan Weatherall.

– Czy jesteś przyzwoita? – zapytał.

– Tak, *monsieur*, jestem – odparłam.

Mój protektor wszedł i natychmiast zasłonił oczy.

– Do stu diabłów, dziewczyno, powiedziałaś, że jesteś przyzwoita – warknął.

– Bo jestem – zaoponowałam. Pokręcił głową, nie odsłaniając oczu.

– Nie, widzisz, w Anglii, kiedy pytamy: „Czy jesteś przyzwoita?”, chodzi nam o to, czy jesteś ubrana.

Koszula nocna May Carroll nie była bynajmniej wyzywająca, ale nie zamierzałam gorszyć pana Weatheralla. Wszedł więc i po chwili spróbował jeszcze raz. Wszedł, przysunął sobie krzesło, a ja usiadłam na skraju łóżka. Ostatni raz widziałam go wieczorem w

– Był Anglikiem, jak pan.

– Tak... tak – powiedział, kiwając głową, znów odchrząknął, wziął głęboki oddech i spojrzał mi w oczy. – Przeprowa z Calais do Dover nie trwa dwa dni, Élise. Raczej dwie godziny, jeśli ma się szczęście; dziewięć, dziesięć w najgorszym razie. Jak myślisz, dlaczego trzymał cię na statku przez dwa dni?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, *monsieur* – odparłam chłodno. Pan Weatherall kiwnął głową.

– Jesteś piękną dziewczyną, Élise. Bóg mi świadkiem, równie piękną jak twoja matka, a uwierz mi, wszyscy się oglądali, kiedy wchodziła. Napotkasz w życiu niemało łotrów.

– Wiem o tym, *monsieur*.

– Bez wątpienia w Wersalu czeka na ciebie Arno?

– Otóż to, *monsieur*. Miałam taką nadzieję. Podniósł się do wyjścia.

– A właściwie to co takiego robiliście przez dwa dni na wodach Kanału, Élise?

– Ćwiczyliśmy, *monsieur* – odparłam. – Ćwiczyliśmy szermierkę.

20 marca 1788

Carrollowie obiecali nam pomóc znaleźć Ruddocka. Według pana Weatheralla oznacza to, że mamy do dyspozycji sieć szpiegów i informatorów.

– Jeśli wciąż jest w Londynie, Élise, to go znajdziemy, możesz być tego pewna. Oczywiście chcę, bym jednak wykonała ich zadanie.

Powinam się tym denerwować, ale biedny pan Weatherall zamartwia się wystarczająco, bezustannie się złości i głośno narzeka; nerwów nie wystarcza po prostu dla nas dwojga.

Poza tym miał rację, że spodobał mi się ten pomysł. Nie ma sensu zaprzeczać. Zresztą – czy można mi się dziwić? Dziesięć lat ponurej, znieawidzonej szkoły. Dziesięć lat tęsknoty, by sięgnąć po przeznaczenie leżące niemal na wyciągnięcie ręki. Dziesięć lat, ujmując to krótko, frustracji i niespełnienia. Byłam gotowa.

Minął miesiąc. Musiałam napisać list, który wysłano do współpracowników Carrollów we Francji, ci zaś zapieczętowali go i przesłali na tutejszy, londyński adres. Czekać na odpowiedź, pomagałam Héléne w nauce czytania i języka angielskiego, szlifując przy tym własne umiejętności.

– Czy to będzie niebezpieczne? – spytała pewnego popołudnia po angielsku, kiedy spacerowałyśmy po posiadłości Carrollów.

– Tak, Héléne. Powinnaś tu zostać do mojego powrotu, możesz też spróbować znaleźć zatrudnienie w jakimś innym domu.

– Nie, *mademoiselle* – odparła nieśmiało po francusku. – Nie pozbędzie się mnie pani tak łatwo.

– Nie o to chodzi, że chcę się ciebie pozbyć, Héléne. Jesteś cudowną towarzyszką, kto zresztą nie chciałby tak serdecznej i wielkodusznej przyjaciółki. Uważam po prostu, że spłaciłaś już swój dług. Nie potrzebuję służącej ani nie chcę brać za nikogo odpowiedzialności.

– A przyjaciółki, *mademoiselle*? Może mogłabym być pani przyjaciółką?

Héléne była moim całkowitym przeciwieństwem. Ja bezustannie ściągałam na siebie

Wyjątek z dziennika Arna Doria

12 września 1794

Choć wciąż pozostawałem w kontakcie z François de La Serre'em, który był dla mnie jak przybrany ojciec, kiedy Élise wyjechała do Londynu, nie mieszkałem już w posiadłości de La Serre'ów, lecz w miasteczku, gdzie całymi dniami i nocami piłem, grałem w karty z ludźmi pokroju Victora i Hugona oraz... owszem, zabawiałem damy.

Gdyby tu więc była, mógłbym jej powiedzieć, że w pierwszych latach naszej dorosłości również zbłądziłem. Choć byliśmy sobie przyrzeczeni – przynajmniej teoretycznie – rzadko przebywaliśmy razem, mieliśmy dla siebie tylko przelotne chwile podczas świąt, a Élise nie była osamotniona w pragnieniu „znajomości”.

Podobnie jak w jej przypadku, moje niewierności (bo tak, przykro mi, Élise, było ich więcej, wersalskie damy były i chętne, i ponętne) wcale mnie od niej nie odciągnęły.

Niektórzy sądzą, że mają prawo się wyszumieć, podczas gdy ich ukochana pozostaje im wierna, ale nie ja. Nie jestem hipokrytą, a przynajmniej staram się nim nie być.

Wyjątki z diariusza Élise de La Serre

2 kwietnia 1788

Dzień rozpoczął się wybuchem paniki.

– Uważamy, że nie powinnaś mieć służącej – oznajmił pan Carroll.

Okropna trójca stała w sieni domu w Mayfair, przyglądając się, jak razem z Héléne przygotowujemy się do wyruszenia w tajną misję.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłam, i choć poczułam dreszcz niepokoju na myśl o wyruszeniu samotnie, nie musiałabym się przynajmniej o nią martwić.

– Nie – rzekł pan Weatherall, występując naprzód. Wymownie pokręcił głową. – Może wymyślić historyjkę o tym, jak jej rodzina zdobyła majątek. Nie chcę, by jechała tam sama, wystarczy, że ja nie mogę jechać z nią.

– To kolejna sprawa, o której musi pamiętać – powiedziała pani Carroll z powątpiewaniem. – Jeszcze jedna rzecz na głowie.

– Pani Carroll, z całym szacunkiem, ale to brednie – warknął pan Weatherall. – Élise całe życie odgrywała rolę szlachetnie urodzonej damy. Poradzi sobie.

Czekałyśmy cierpliwie, aż rozstrzygnie się przyszłość moja i Héléne. Choć różniłyśmy się niemal pod każdym względem, łączyło nas jedno: o naszym losie decydowali inni.

Przywykłyśmy do tego.

Kiedy skończyli, nasz dobytek załadowano na powóz, a stangret – jak nas zapewniono, zaufany człowiek Carrollów – zawiózł nas do Bloomsbury, pod adres przy Queen Square.

– Kiedyś nazywał się Queen Anne's Square – powiedział stangret. – Teraz to po prostu Queen Square.

Odprowadził nas pod drzwi i pociągnął za sznurek dzwonka. Kiedy czekaliśmy, rozejrzałam się po placu. Ujrzałam dwa schludne rzędy białych rezydencji, jedna obok drugiej, bardzo angielskie. Na północ ciągnęły się pola, nieopodal wznosił się kościół. Na drodze bawiły się dzieci, przebiegały przed wozami i karetami; ulica tętniła życiem.

Usłyszeliśmy kroki i głośny zgrzyt skobli. Postarałam się, by moja mina wyrażała pewność siebie, bym wyglądała jak ktoś, kim miałam rzekomo być.

– Jak idą sprawy?

– Dostałam się do środka.

– Dobrze. Proszę, Élise, bądź ostrożna – powiedział. Jeśli w ogóle można było przekazać uczucie i prawdziwą troskę w rozmowie czytanej z ruchu warg w środku nocy, to panu Weatherallowi właśnie się to udało.

– Będę – odparłam. Odeszłam od okna i położyłam się do łóżka, zachodząc w głowę nad celem swojej wizyty w tym dziwnym domu.

6 kwietnia 1788

Minęło dużo czasu i mam ci wiele do opowiedzenia o wydarzeniach ostatnich kilku dni. Mój oręż po raz wtóry posmakował krwi, tyle że tym razem dzierzony był przeze mnie. Do tego coś odkryłam – czytając swój dziennik, dochodzę do wniosku, że powinnam była wiedzieć to już dawno.

Zacznijmy jednak od początku.

– Czy mogłabym zobaczyć się z panną Scott dziś przy śniadaniu? – spytałam służącego pierwszego dnia rankiem. Uciekł wzrokiem i wyszedł bez słowa, zostawiając mnie samą w zatęchłej jadalni ze skurczonym jak co dzień rano żołądkiem. Przede mną rozciągał się długi, pusty stół.

Miejsce służącego zajął pan Smith, lokaj. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do mnie.

– Przykro mi, *mademoiselle* – rzekł, skłoniwszy się dawkowo – ale panna Scott dziś je śniadanie w swoim pokoju, jak to czasem ma w zwyczaju, zwłaszcza kiedy niedomaga.

– Niedomaga? Uśmiechnął się blado.

– Czyli czuje się niezupełnie dobrze i zdrowo. Prosi, by się pani rozgościła, ma nadzieję spotkać się z nią później, by pogłębiać waszą znajomość.

– Bardzo bym chciała – rzekłam.

Czekałam więc razem z Hélène. Cały ranek spędziłyśmy, chodząc po rezydencji niczym para niezwykle dociekliwych inspektorów. Nigdzie nie było ani śladu *mademoiselle* Scott. Przed południem poszłyśmy do salonu, gdzie w końcu wykorzystałam w praktyce ćwiczone latami w Maison Royale wyszywanie. Nasza gospodyni wciąż się nie pojawiła.

Nie pojawiła się też ani na chwilę po południu, kiedy poszłam z Hélène na spacer po ogrodzie, ani przy kolacji, którą zjadłam sama.

Moja irytacja zaczęła narastać. Myślałam o ryzyku, które podjęłam, przyjeżdżając tutaj – o nieprzyjemnych zajściach z *madame* Levene, o tym, jak oszukałam ojca i Arna. Moim celem było znalezienie Ruddocka, a nie udawanie całymi dniami, że umiem wyszywać, jako nieledwie więzień mojej gospodyni, wciąż nie wiedząc, co tu właściwie robię.

Poszłam do swojego pokoju, a o jedenastej znów dałam sygnał panu Weatherallowi.

Tym razem powiedziałam mu bezgłośnie: „Wychodzę”. Na jego twarzy odmalowała się panika, odpowiedział: „Nie, nie”, ale ja już odeszłam od okna, zresztą za dobrze mnie znał. Skoro powiedziałam, że wychodzę, to wychodziłam.

Narzuciłam płaszcz na nocną koszulę, włożyłam pantofle i po cichu zeszłam do frontowych drzwi. Bardzo, bardzo cicho odsunęłam skoble, wysliznęłam się na zewnątrz i przebiegłam przez ulicę.

– Ogromnie ryzykujesz, dziecko – powiedział pan Weatherall ze złością, ale nie mógł ukryć radości z mojego widoku.

– Cały dzień w ogóle jej nie widziałam – poinformowałam go szybko.

– Doprawdy?

– Tak, i tylko kręciłam się po domu jak znudzony paw. Może gdybym wiedziała, co tu robię, to mogłabym się tym zająć, wykonać swoje zadanie i opuścić to przekłete miejsce. – Popatrzyłam na niego znacząco. – To piekielna tortura, panie Weatherall.

Kiwnął głową i stłumił uśmiech, słysząc moje angielskie przekleństwo.

– Dobrze, Élise. Tak się składa, że dziś mi powiedzieli. Masz zdobyć listy.

– Jakie listy?

– Pisane. Listy, które Haytham Kenway napisał do Jennifer Scott przed śmiercią. Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– To wszystko?

– Nie wystarczy ci? Jennifer Scott jest córką asasyna. Listy pisał do niej wysokiej rangi templariusz. Carrollowie chcą wiedzieć, co w nich jest.

– Wybrali sobie dość ryzykowny sposób.

– Poprzedni człowiek wprowadzony do tego domu niczego nie wskórał. Udało mu się tylko ustalić, że listy nie są przechowywane w jakimś łatwo dostępnym miejscu. Panna Scott nie trzyma ich związanych kokardką w sekretarzyku. Schowała je.

– A tymczasem?

– Chodzi ci o Ruddocka? Carrollowie powiedzieli, że ich ludzie o niego wypytują.

– Mówią tak już od kilku tygodni.

– Takie sprawy trwają.

– Jak dla mnie za długo.

– Élise... – ostrzegł pan Weatherall.

– Dobrze, dobrze, nie zrobię nic głupiego.

– To dobrze – odparł. – I bez tego twoje położenie jest trudne. Nie rób niczego, co by je mogło pogorszyć.

Nie widziałam twarzy pani Carroll, ale mogłam sobie wyobrazić tę maskę nienawiści i rozpacz. Pan Weatherall, ledwie przytomny, ze zranioną nogą okrytą kocami podróżnymi, przyglądał mi się. Zobaczył, że pokazuję dyskretnie *bras d'honneur* i szturchnął mnie.

– Nawet gdyby cię widzieli, nie wiedzieliby, co robisz. Ten gest jest obraźliwy tylko we Francji. Spróbuj tego.

Wyprostował dwa palce. Zrobiłam to samo.

Pocztowiec był już niedaleko. Wyczuwałam w mroku jego zwalistą obecność.

– Będą cię ścigać, wiesz o tym – powiedział pan Weatherall z brodą na piersi. – Zabiłaś ich córkę.

– To nie wszystko. Wciąż mam ich listy.

– Te, które spalili, nie były prawdziwe?

– Moje stare listy do Arna.

– Może nigdy się o tym nie dowiedzą. Tak czy inaczej, będą cię ścigać. Carrollowie zniknęli w mroku nocy. Anglia była już tylko ścianą olbrzymich, jaśniejących w blasku księżyca urwisk po lewej.

– Wiem – powiedziałam. – Będę gotowa.

– Oby.

9 kwietnia 1788

– Potrzebuję pomocy.

Padał deszcz, z rodzaju tych, które odczuwa się niczym nakłuwanie skóry noże; taki, który zalewa oczy i chłoszcze plecy. Mokra włosy oblepiały mi głowę, a kiedy się odezwałam, woda chlustała mi z ust, ale przynajmniej nie było widać moich łez i smarków.

Stałam na schodach Maison Royale w Saint-Cyr, starając się nie upaść z wyczerpania. *Madame* Levene pobladała na mój widok, jakbym była duchem, który w środku nocy nawiedził szkolne progi.

Stojąc tam, za plecami mając powóz ze śpiącym czy nieprzytomnym panem Weatherallem, z Hélène wyglądającą niespokojnie przez okno, zastanawiałam się, czy podjęłam słuszną decyzję.

I przez chwilę, kiedy *madame* Levene stała tylko i mi się przyglądała, pomyślałam, że za te wszystkie kłopoty, których jej narobiłam, każe mi iść do diabła i zatrzaskać mi drzwi przed nosem. Kto mógłby mieć do niej pretensje, gdyby tak zrobiła?

– Nie mam dokąd iść – powiedziałam. – Proszę, niech mi pani pomoże. Nie zatrzaskała drzwi. Powiedziała tylko:

– Moja droga, oczywiście.

A ja padłam jej w ramiona, na pół martwa ze zmęczenia.

10 kwietnia 1788

Czy żył kiedykolwiek człowiek odważniejszy niż pan Weatherall? W drodze do Dover ani razu nie krzyknął z bólu, ale zanim weszliśmy na pokład pocztowca, stracił sporo krwi. Na statku spotkałam Hélène. Skały Dover mały w oddali, czas spędzony w Londynie już stawał się wspomnieniem. Położyliśmy pana Weatheralla w odosobnionym kącie pokładu.

Hélène przyklęła przy nim i przyłożyła mu chłodne ręce do czoła.

– Anioł z ciebie – powiedział, uśmiechnął się do niej i zemdłał.

Zabandażowałyśmy go najlepiej, jak umiałyśmy, i kiedy przybiliśmy w Calais, odzyskał trochę sił. Ale wciąż cierpiał i, o ile się orientowałyśmy, kula wciąż tkwiła w jego nodze, a kiedy zmienialiśmy opatrunek, rana lśniła wilgotno, bez żadnych śladów gojenia.

W szkole była pielęgniarka, ale *madame* Levene sprowadziła z Châteaufort doktora, człowieka obeznanego z ranami wojennymi.

– Trzeba będzie ją obciąć, prawda? – spytał go pan Weatherall z łóżka. Całą piątką tłoczyliśmy się w jego pokoju.

Doktor pokiwał głową, a ja poczułam szczypanie łez w oczach.

– Nic się nie przejmuj – rzekł do mnie pan Weatherall. – Wiedziałem, że już po niej od momentu, kiedy mnie trafiła. Zjeżdżałem z tego przeklętego dachu we własnej krwi, z kulą w nodze i myślałem: „No tak, już po niej”. I proszę.

Spojrzał na lekarza i przełknął ślinę, w końcu okazując trochę strachu.

– Jest pan szybki? Lekarz przytaknął.

– Radzę sobie z nogą w czterdzieści cztery sekundy – dodał z pewną dumą. Pan Weatherall był pod wrażeniem.

– Używa pan piły?

– Ostrej jak brzytwa.

Pan Weatherall z żalem wziął głęboki oddech.

– No to na co czekamy? – spytał. – Miejmy to już za sobą.

Jacques, nieślubny syn dyrektorki, i ja trzymaliśmy go, a doktor dotrzymał obietnicy – był szybki i dokładny, nawet kiedy pan Weatherall zemdłał z bólu. Po wszystkim owinał jego

nogę w brązowy papier, a następnego dnia wrócił z parą kul.

nas. Wyjęłam pojedynczy list i mu go podałam. Zaczekałam, aż przeczyta.

– Dobrze – rzekł, skończywszy, złożył list i schował go za pazuchę. – Pamiętasz, jak mówiłem, że nasz przyjaciel Ruddock musiałby być cholernym głupcem, by znów posłużyć się nazwiskiem Gerald Mowles?

– Tak – odparłam ostrożnie, czując dreszczyk emocji.

– No, to jest. Jest cholernym głupcem.

14 stycznia 1789

Na wzgórzu wznoszącym się nad maleńką wioską pod Rouen trzech wieśniaków w skórzanych kaftanach śmiało się i żartowało. Potem na trzy cztery dźwignęli szubienicę na niski, drewniany podest.

Jeden z nich ustawił pod nią trójnogi stołek, a następnie pomógł kompanom przybijać podpory trzymające szubienicę w pionie. Wiatr niósł rytmiczne stukanie do miejsca, gdzie siedziałam na koniu – pięknym i łagodnym wałachu, którego nazwałam Czochrajem, na cześć naszego ukochanego i dawno nieżyjącego wilczarza.

U stóp wzgórza leżała wioska. Maleńka, przypominająca raczej zbiorowisko marnych chatynek, rozrzuconych wraz z karczmą wokół burego, błotnistego placyku; tak czy inaczej, jednak wieś.

Lodowaty deszcz przeszedł w miarową, równie lodowatą mżawkę, zerwał się mocny, przejmujący do kości wiatr. Wieśniacy czekający na placu owijali się ciasniej szalami i ściągali koszule pod szyjami, czekając na dzisiejszą rozrywkę – egzekucję. Cóż mogło być lepszego? Nie ma to jak porządna egzekucja na szubienicy, kiedy mróz wydusił plony, pan podniósł czynsze, a król zamierzał nałożyć nowe podatki.

Z budynku, który jak się domyślałam, był aresztem, dobiegł jakiś hałas. Przemarznięci gapie odwrócili się i ujrzeli wychodzącego księdza w sutannie i czarnym kapeluszu, uroczystym głosem czytającego fragment Biblii. Za nim szedł strażnik więzienny, trzymający sznur, którego drugi koniec pętał ręce mężczyzny w kapturze. Prowadzony potykał się i ślizgał w błocie, śląc protesty bez jakiegoś konkretnego adresata.

– To chyba jakaś pomyłka! – krzyknął, tyle że po angielsku, nim sobie uświadomił, że jest we Francji.

Wieśniacy przyglądali się, jak prowadzą go na wzgórze; niektórzy się zegnali, inni wznosili szydercze okrzyki. Nigdzie nie było widać ani żandarma, ani sędziego, ani żadnego przedstawiciela prawa. Na wsi tak najwyraźniej wyglądała sprawiedliwość. A mówili, że to Paryż jest niecywilizowany.

Prowadzonym mężczyzną był oczywiście Ruddock. Gdy patrzyłam ze wzgórza na

- Przysięgam – zaskowyczał. – Przysięgam, że nie wiem! Zakręciłam lekko klingą.
- Mężczyzna! – zapiszczał. – Mężczyzna w kawiarni w Paryżu.
- W której kawiarni?
- Café Procope.
- Jak się nazywał?
- Nie powiedział.

Przeciągnęłam ostrzem po jego prawym policzku, rozcinając skórę. Wrzasnął. Choć w duchu się wzdrygnęłam, zachowałam obojętną – czy nawet okrutną – minę kogoś, kto jest zdeterminowany dostać to, czego chce. Mimo że dręczyło mnie nieprzyjemne uczucie, wrażenie, że oto kończy się trwające dziesięć lat szukanie wiatru w polu.

– Przysięgam. Przysięgam. Nie znałem go. Nie przedstawił się, nie pytałem. Wziąłem połowę pieniędzy z góry, miałem wrócić po resztę po robocie. Ale oczywiście nie wróciłem.

Z rezygnacją uświadomiłam sobie, że nie kłamie: czternaście lat temu anonimowy człowiek wynajął innego anonimowego człowieka do wykonania zadania. I na tym ta historia się kończyła.

Miałam w rękawie jeszcze jeden bluff. Wstałam, nie cofając szpady z twarzy Ruddocka.

– W takim razie pozostaje mi tylko zemścić się za to, co zrobiłeś w siedemdziesiątym piątym.

Wytrzeszczył oczy.

– Och, na Boga, ty rzeczywiście chcesz mnie zabić.

– Tak.

– Mogę się dowiedzieć – powiedział szybko. – Mogę się dowiedzieć, kim był ten człowiek. Dowiem się tego dla ciebie.

Przyjrzałam się mu uważnie, jakbym się zastanawiała, choć w rzeczywistości nie miałam zamiaru go zabijać. Nie w ten sposób. Nie z zimną krwią.

– Oszczędzę cię – oznajmiłam w końcu – żebyś mógł zrobić to, co obiecałeś. Wiedz jednak, Ruddock, że chcę to od ciebie usłyszeć za sześć miesięcy. Sześć miesięcy. Znajdziesz mnie w posiadłości La Serre'ów na Wyspie Świętego Ludwika w Paryżu. Niezależnie od tego, czy się czegoś dowiesz, czy nie, masz do mnie przyjechać, inaczej resztę żywota spędzisz, czekając, aż wyłonię się z ciemności i poderżnę ci gardło. Czy wyrażam się jasno?

Schowałam szpadę i dosiadłam Czochraja.

– W tamtym kierunku, trzy kilometry stąd, jest miasteczko – wskazałam. – Do zobaczenia za sześć miesięcy, Ruddock.

Odjechałam. Kiedy byłam już poza zasięgiem wzroku Ruddocka, zgarbiłam się. Wiatr w polu. Dowiedziałam się tylko tyle, że nie było się czego dowiadywać.

Czy jeszcze kiedyś zobaczę Ruddocka? Wątpię. Nie wiedziałam, czy moja groźba, że go znajdę, jest prawdą, wiedziałam tylko, że tak jak większość rzeczy w życiu łatwiej coś powiedzieć, niż wykonać.

mu, że chcesz objąć przywództwo nad Zakonem. Jeśli jest wierny twojej rodzinie, to miejmy nadzieję, że to okaże. Następna sprawa: znajdę ci jakiegoś adiutanta. Kogoś, komu możemy na pewno ufać. Trzecia rzecz: powinnaś się zastanowić nad odwiedzeniem Arna. Pamiętaj, że to nie on zabił twojego ojca. Człowiekiem, który zabił twojego ojca, jest człowiek, który zabił twojego ojca.

najgorszym razie jest to coś, czemu być może warto by się przyjrzeć.

Pozostaję szczerze oddana,

Jennifer Scott

śmierdziałeś w Rouen i śmierdzisz teraz. Może pora na kąpiel? Jakież perfumy? Obraziłam cię?

Uśmiechnął się.

– W żadnym razie, *mademoiselle*. Doceniam szczerość.

– Poza tym nie pojmuję, dlaczego chcesz wrócić do asasynów.

– Słucham, *mademoiselle*?

Nachyliłam się do przodu, mrużąc oczy i jednocześnie wymachując kielichem.

– Na twoim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowiła.

– Co masz na myśli? Machnęłam ręką.

– Mam na myśli, że się z tego wyrwałeś. Całkowicie. Z tego całego... – znów machnęłam – ...wszystkiego. Asasyni. Templariusze. Pff. Mają dość dogmatów, by założyć dziesięć tysięcy kościołów i dwa razy tyle zwariowanych przekonań. Od wieków nie robią nic, tylko ze sobą walczą, i po co? Ludzkość i tak robi swoje. Popatrz na Francję. Mój ojciec i jego doradcy latami spierali się, jaki jest „najlepszy” kierunek dla kraju, a potem przyszła rewolucja i wszystko potoczyło się bez ich udziału. Ha! Gdzie był Mirabeau, kiedy szturmowali Bastylię? Zbierał głosy w sali do gry w piłkę? Asasyni i templariusze są jak dwa kleszcze walczące o władzę nad kotem. To daremny pokaz pychy.

– Ależ *mademoiselle*, niezależnie od rezultatów musimy wierzyć, że jesteśmy zdolni zmieniać świat na lepsze.

– To tylko ułudy, Ruddock. Tylko ułudy.

Odprawiłam Ruddocka; będę gotowa na ich przyjęcie, kimkolwiek by byli: plądrującymi rewolucjonistami, wysłannikami Carrollów, zdrajcami z mojego Zakonu. Będę gotowa.

Na szczęście w domu jest dość wina, bym mogła się pokrzepić w czasie oczekiwania.

25 lipca 1789

Przyszli za dnia. Wkradli się na dziedziniec. Ukryta w zaciemnionym, zabitym deskami hallu, z pistoletem pod ręką, słyszałam echo ich kroków.

Czekałam i byłam gotowa na ich przyjęcie. Kiedy wspięli się na schody prowadzące do drzwi, które rozmyślnie zostawiłam uchylone jak co dzień, sięgnęłam po pistolet, odwiodłam kurek i uniosłam broń.

Drzwi zaskrzypiały. Cień padł na prostokąt słonecznego światła na deskach podłogi i wydłużył się, kiedy intruz przestąpił próg i znalazł się w półmroku domu.

– Élise – powiedział.

Zdałam sobie sprawę, że minęło bardzo dużo czasu, odkąd słyszałam ludzki głos. Jakże słodko brzmiał w moich uszach. I co za szczęście, że ten głos należał właśnie do niego.

Potem przypomniałam sobie, że mógł uratować mojego ojca, a nie uczynił tego, i że zbratał się z asasynami. Właściwie, skoro o tym mowa, może jedno z drugim było jakoś powiązane? A nawet jeśli nie...

Zapaliłam świecę, wciąż mierząc do niego z pistoletu. Z zadowoleniem spostrzegłam, że się wzdrygnął, kiedy zapłonęło światło. Przez długą chwilę tylko przyglądaliśmy się sobie, bez wyrazu, aż ruchem głowy wskazał pistolet.

– Piękne powitanie.

Zmięknęłam trochę, widząc jego twarz. Tylko troszkę.

– Ostrożności nigdy dość. Nie po tym, co się stało.

– Élise...

– Nie odpłaciłeś już mojemu ojcu wystarczająco za jego dobroć? – spytałam ostro.

– Élise, proszę. Nie wierzysz chyba, że zabiłem *monsieur* de La Serre'a. Twój ojciec... nie był człowiekiem, za którego go uważałaś. Żaden z naszych ojców nie był.

Sekrety. Jak ja nienawidziłam ich smaku. *Vérités cachées*. Całe życie.

– Wiem dobrze, kim był mój ojciec, Arno. I wiem, kim był twój. To chyba było nieuniknione. Ty asasyn, ja templariuszka.

Na jego twarzy z wolna odmalowało się zrozumienie.

– Ty...? – zaczął, ale załamał mu się głos. Przytaknęłam.

– To dla ciebie szok? Mój ojciec zawsze chciał, bym poszła w jego ślady. Teraz mogę tylko go pomścić.

– Przysięgam, nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią.

– Och, ależ miałeś...

– Nie. Nie. Klnę się na swoje życie, ja nie... Pod ręką miałam list. Uniosłam go.

– Czy to jest...? – spytał Arno, mrużąc oczy.

– List, który mój ojciec miał dostać w dniu, gdy został zamordowany. Znalazłam go na podłodze jego pokoju. Nieotwarty.

Prawie było mi żal Arna – krew odpłynęła mu z twarzy, kiedy pojął, co zrobił. W końcu on też kochał ojca. Tak, niemal było mi go żal. Niemal.

Poruszył bezgłośnie ustami. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie wiedziałem – powiedział w końcu.

– Mój ojciec też nie – odparłam po prostu.

– Skąd miałem wiedzieć?

– Po prostu idź – rzekłam. Nie mogłam znieść drżenia swojego głosu. Nie mogłam znieść Arna. – Idź.

Poszedł. A ja zamknęłam za nim drzwi na zasuwę i tylnymi schodami zeszłam do pokoju kamerdynera, gdzie przygotowałam sobie posiłek. Potem otworzyłam butelkę wina. Żeby lepiej spać.

20 sierpnia 1789

Ktoś mną potrząsał. Zamrugałam przekrwionymi oczami, usiłując skupić wzrok na stojącym nade mną mężczyźnie o kulach. Wyglądał jak pan Weatherall, ale to nie mógł być pan Weatherall, bo mój protektor był w Wersalu i ze względu na swoją nogę nie mógł podróżować. A ja nie byłam w Wersalu, byłam na Wyspie Świętego Ludwika w Paryżu, czekając na... na coś.

– Dobrze – powiedział. – Widzę, że jesteś już ubrana. Pora podnieść się z wyrka, idziesz z nami.

Za nim stał drugi mężczyzna, przestępujący nerwowo z nogi na nogę na progu pokoju kamerdynera. Przez chwilę myślałam, że to Jacques z Maison Royale, ale nie, to był inny, znacznie młodszy człowiek.

Tym, który mną potrząsał, był rzeczywiście pan Weatherall. Poderwałam się z posłania, objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie, z wdzięcznością łkając mu w pierś.

– Przestań – stęknął zduszonym głosem. – Przewróćisz mnie. Zaczekaj no chwilę, mówię! Puściłam go i podniosłam się na kolana.

– Ale nie możemy nigdzie iść – oznajmiłam stanowczo. – Muszę być gotowa, kiedy po mnie przyjdą.

– Kiedy po ciebie przyjdą? Kto?

Chwyciłam go za kłapy, spojrzałam w brodatą twarz wykrzywioną troską i nie chciałam już nigdy go puszczać.

– Carrollowie przysłali zabójców, panie Weatherall. Przysłali dwóch ludzi, żeby zabili mnie za to, co zrobiłam May Carroll.

Pan Weatherall zawisł na kulach i mnie objął.

– O Boże, dziecko. Kiedy?

– Zabiłam ich – ciągnęłam bez tchu. – Zabiłam ich obu. Jednego przebiłam drewnianym kołkiem – zachichotałam.

Odsunął się ode mnie i marszcząc czoło, spojrzał mi głęboko w oczy.

– A potem uczciłaś to kilkoma setkami butelek wina, sądząc po tym, co tu

5 października 1789

Wcześniej pisałam, że zdobycie Bastylia było symbolem końca panowania króla, i choć w pewnym sensie tak było – w takim, że jego rządy zakwestionowano, poddano próbie i próby tej nie przeszły – przynajmniej nominalnie władza pozostała w jego ręku.

Kiedy wieści o Bastylia obiegły Francję, wraz z nimi rozeszły się pogłoski, że królewska armia okrutnie zemści się na wszystkich rewolucjonistach. Do wiosek przybywali posłańcy z przerażającymi wiadomościami o wojskach przewalających się przez kraj. Wskazywali zachodzące słońce i mówili, że to pożar wsi w oddali. Wieśniacy zbroili się przeciwko armii, która nigdy nie nadeszła. Palili kantory poborców podatkowych. Walczyli z lokalną milicją, wysyłaną, by stłumić bunt.

Zgromadzenie tymczasem wydało uchwałę, deklarację praw człowieka i obywatela, zakazującą szlachcie domagać się podatków, danin i pańszczyzny od chłopów. Uchwałę spisał markiz La Fayette, który współtworzył amerykańską konstytucję; nowe prawo unieważniało przywileje możnych i czyniło wszystkich ludzi równymi w oczach prawa.

Uczyniło także gilotynę oficjalnym narzędziem zadawania śmierci we Francji.

Co zrobić z królem? Oficjalnie wciąż miał prawo weta. Mirabeau, który omal nie zawarł sojuszu z moim ojcem, przekonywał, że protesty muszą się zakończyć, a król powinien władać jak dotąd.

Gdyby mój ojciec żył, wtórowałby mu; zastanawiałam się, czy sojusz asasynów i templariuszy mógł zmienić bieg rzeczy, i nabierałam przekonania, że mógł. Zrozumiałam, że dlatego właśnie ojca zabito.

Inni – wśród nich przede wszystkim lekarz i naukowiec Jean-Paul Marat, który choć nie był członkiem Zgromadzenia, znajdował posłuch – uważali, że królowi należy odebrać wszelkie uprawnienia, miałyby się przenieść z Wersalu do Paryża i pełnić funkcję wyłącznie doradczą.

Pogląd Marata był najbardziej radykalny. Z mojego punktu widzenia było to ważne, bo nie słyszałam, by ktoś domagał się usunięcia władcy, jak to bywało, kiedy dorastałam.

Ujmijmy to inaczej – najbardziej zagorzali paryscy rewolucjoniści nie wysuwali

pękających żeber, a potem chlupnęłam w czarne jak atrament wody Sekwany.

Oczywiście udało mi się wrócić. Kiedy dopłynęłam do brzegu, wyczołgałam się z wody i w zamieszaniu wywołanym przyjazdem króla do Paryża „znalazłam” konia. Pojechałam zaśmieconą drogą w kierunku przeciwnym niż tłum, do Wersalu. Staralam się jak najmniej ruszać, pamiętając o połamanych żebrach.

Kiedy dojechałam na miejsce, szczękałam zębami w przemoczonym ubraniu. Zsunęłam się z siodła i ruszyłam do drzwi domku ogrodnika. Nie bacząc na swój opłakany stan, mogłam myśleć tylko o jednym: zawiodłam go. Zawiodłam ojca.

Wyjątek z dziennika Arna Doria

12 września 1794

Czytając to, mimowolnie wstrzymuję oddech, nie tylko z podziwu dla śmiałości i odwagi, z jaką działa, ale dlatego, że śledząc jej drogę, dostrzegam w niej lustrzane odbicie swojej własnej. Pan Weatherall miał rację (dziękuję, dziękuję, panie Weatherall, że pomógł jej pan to zrozumieć): ja i Élise byliśmy do siebie bardzo podobni.

Różnica polegała oczywiście na tym, że ona zrozumiała to pierwsza. To Élise zaczęła uczyć się praw swojego... Ach, zamierzałem napisać „wybranego” Zakonu, ale oczywiście nie mogła go „wybrać”. Urodziła się, by być templariuszką. Wychowywano ją na przywódczynię. A jeśli nawet z początku pogodziła się ze swoim przeznaczeniem – głównie dlatego, że pozwalało jej uciec od spojrzeń zza wachlarzy i plotek Wersalu – z czasem nauczyła się je podważać. Dojrzała na tyle, by zakwestionować odwieczny konflikt asasynów i templariuszy; zaczęła zadawać sobie pytanie, czy to wszystko jest tego warte – czy wszystkie te zabójstwa cokolwiek dobrego przyniosły i czy kiedykolwiek przyniosą.

Tak jak przypuszczała, człowiekiem, z którym mnie widziała, był Bellec. Nie da się ukryć, że zrobił na mnie wielkie wrażenie, zaintrygował mnie i sprawił, że odkryłem pewne talenty, będące w moim zasięgu. Innymi słowy, to Bellec uczynił ze mnie asasyna. To on był moim mentorem podczas wprowadzania mnie w szeregi Zakonu; to on wysłał mnie z misją znalezienia zabójcy mojego przybranego ojca.

O tak, Élise. Nie ty jedna opłakiwałaś François de La Serre’a. Nie ty jedna badałaś okoliczności jego śmierci. A w tym ja miałem pewną przewagę: wiedzę swojego Zakonu, „talenty”, które zdołałem rozwinąć pod okiem Belleca, i fakt, że byłem na miejscu tamtego wieczora, kiedy zadźgano François de La Serre’a.

Być może powinienem zaczekać i tobie zostawić ten zaszczyt. Być może byłem tak samo porywczy jak ty. Być może.

Wyjątki z diariusza Élise de La Serre

25 kwietnia 1790

Minęło pół roku od ostatniego wpisu w moim dzienniku. Pół roku, odkąd skoczyłam z Pont Marie w zimną październikową noc.

Pewien czas spędziłam przykuta do łóżka, cierpiąc z powodu gorączki, której dostałam po kąpieli w Sekwanie, i połamanych żeber. Moje znękanе ciało nie radziło sobie zbyt dobrze z tymi dwoma problemami jednocześnie; przez pewien czas, przynajmniej według Héléne, moje życie wisiało na włosku.

Muszę jej wierzyć na słowo. Byłam nieobecna umysłem, gorączkowałam, miałam halucynacje, bełkotałam dziwne rzeczy w nocy, krzyczałam, moje wychudzone ciało oblewał zimny pot.

Zapamiętałam z tego poranek, kiedy się obudziłam i ujrzałam nad sobą ich zatroskane twarze: Héléne, Jacques'a i pana Weatheralla. Héléne powiedziała: „Gorączka spadła”, a po ich obliczach przeszła fala ulgi.

Kilka dni później pan Weatherall przyszedł do mojej sypialni i przysiadł na skraju łóżka.

W domku raczej nie przestrzegaliśmy ceremoniałów. Między innymi dlatego tak mi się tam podobało; fakt, że muszę tam przebywać, ukrywając się przed wrogami, był dzięki temu nieco bardziej znośny.

Przez jakiś czas pan Weatherall siedział w milczeniu, tak jak to bywa między starymi przyjaciółmi, kiedy nie trzeba się obawiać ciszy. Z zewnątrz dobiegały głosy przedrzeźniających się Héléne i Jacques'a; pod oknem zatupotały stopy, Héléne przebiegła roześmiana i bez tchu.

Popatrzyliśmy po sobie i uśmiechnęliśmy się porozumiewawczo; potem pan Weatherall znów spuścił głowę i zaczął skubać brodę, jak to ostatnio miał w zwyczaju.

W końcu przerwałam milczenie:

– Co by zrobił mój ojciec, panie Weatherall? Pan Weatherall nieoczekiwanie się zaśmiał.

– Wezwałby pomoc z za morza, dziecko. Prawdopodobnie z Anglii. Powiedz, jak tam twoje stosunki z angielskimi templariuszami?

pastwę plądrującej tłuszczu.

Obiecałam jednak panu Weatherallowi cierpliwość, więc jestem cierpliwa. Na razie.

16 listopada 1790

Siedem miesięcy pisania listów i wiemy tyle: moi sprzymierzeńcy i przyjaciele są już dawnymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi.

Czystka się dokonała. Niektórzy zdradzili, inni zostali przekupieni, a jeszcze inni – ci bardziej niezłomni, którzy próbowali okazać wsparcie, tacy jak *monsieur* Le Fanu – coś, rozprawiono się z nimi w inny sposób. Któregoś ranka Le Fanu poderżnięto gardło, wyniesiono go nogami do przodu, gołego, z paryskiego burdelu i wystawiono na ulicy na widok publiczny. Za tę hańbę pośmiertnie odebrano mu członkostwo Zakonu, a jego żona i dzieci, które normalnie otrzymałyby finansową pomoc, popadły w nędzę.

Le Fanu był rodzinnym człowiekiem, całkowicie wiernym swojej żonie Claire. Nie dość, że nigdy nie poszedłby do burdelu, to jeszcze wątpię, czy wiedziałby w ogóle, co tam robić. Kto jak kto, ale on nie zasługiwał na taki los.

Taką cenę zapłacił za wierność rodowi La Serre'ów. Stracił wszystko: życie, reputację i honor. Wszystko.

Wiedziałałam, że każdy członek Zakonu, który dotąd się nie złamał, teraz na pewno to zrobi – znając haniebnny koniec, jaki może go spotkać. I rzeczywiście, tak się właśnie stało.

– Chcę, żeby zaopiekowano się żoną i dziećmi *monsieur* Le Fanu – powiedziałam panu Weatherallowi.

– *Madame* Le Fanu odebrała życie dzieciom i sobie – odparł. – Nie mogła żyć w takiej hańbie.

Zamknęłam oczy i westchnęłam głęboko, usiłując zapanować nad kotłującą się we mnie wściekłością. Kolejne trupy na ich liście.

– Kim on jest, panie Weatherall? – spytałam. – Kim jest człowiek, który to wszystko robi?

– Dowiemy się – odparł, wzdychając. – Nic się nie martw.

Ale nic nie zrobiono. Bez wątpienia moi wrogowie byli przekonani, że przejęcie władzy dokonało się w zupełności, że nie jestem już groźna. Mylili się.

12 stycznia 1791

Moje umiejętności szermiercze powróciły, jeszcze doskonalsze niż dotąd, strzelam celnie i uprzedziłam pana Weatheralla, że to już niedługo, że wkrótce wyruszę, bo zostając tutaj, nic nie zdziałam; każdy dzień spędzony w ukryciu to zmarnowany dzień zemsty. Próbował mi to wyperswadować. Zawsze była jakaś odpowiedź, na którą czekał. Jeszcze jedna droga, której warto było spróbować.

Kiedy to przestało działać, groził mi. Niech no tylko spróbuję wyjechać, a się przekonam, jak to jest dostać srogie manto przeпоconą kulą spod pachy. Niech tylko spróbuję.

Pozostaję (nie)cierpliwa.

– Nie, Élise, coś wymyślę. Posłuchaj tylko. Jestem twoim doradcą i nalegam, byś została, a my tymczasem obmyślimy, jak zareagować na tę ostatnią prowokację. Co ty na to? Czy to dość rozsądna rada, by ci wyperswadować pomysł wyjazdu?

Obiecując, że zostanę, czułam na ustach ohydny smak kłamstwa. Zastanawiam się, czy wiedział, że kiedy wszyscy pójda spać, wykradnę się po cichu.

Kiedy tylko wyschnie atrament, którym pisałam te słowa, schowam diariusz do torby i ucieknę. Złamię mu serce. Bardzo pana za to przepraszam, panie Weatherall.

znalazłam otwartą karczmę. W środku rozpowiedziałam każdemu, kogo to interesowało, że nazywam się Élise de La Serre, że mieszkałam w Wersalu, ale teraz jadę do Paryża.

Następnego ranka tam dotarłam. Przejechałam przez Pont Marie na Wyspę Świętego Ludwika, kierując się... do domu? W pewnym sensie. Do swojej willi.

Jak będzie wyglądała? Nie pamiętałam nawet, czy byłam dobrym gospodarzem podczas swojej ostatniej tam bytności. Dotarwszy na miejsce, poznałam odpowiedź. Nie, nie byłam dobrym gospodarzem, co najwyżej spragnionym, sądząc po walających się wszędzie butelkach po winie. Stłumiłam drżenie, wspominając mroczne godziny, jakie tu spędziłam.

Pamiętki z przeszłości zostawiłam nietknięte. Następnie napisałam do *monsieur* Lafrenière'a list, w którym poprosiłam o spotkanie w Hôtel Voysin za dwa dni. Dostarczywszy go osobiście pod wskazany adres, wróciłam do willi, gdzie porozciągałam druty na wypadek, gdyby przyszli mnie tu szukać, i umościłam się w pokoju kamerdynera.

chłopakiem, który odwracał uwagę kucharza, kiedy ty kradłaś dżem... Tym samym, który podsadzał cię na mur tego pełnego psów sadu...

Musiałam wziąć pod rozwagę coś jeszcze. Jak zauważył pan Weatherall, byłam sama: ja przeciw nim. Gdybym jednak miała poparcie asasynów? Nie musiałam pytać, co zrobiłby mój ojciec. Wiedziałam, że byłby gotów zawrzeć z nimi porozumienie.

Pokiwałam głową.

– Zaprowadź mnie do swojego Bractwa. Wysłucham ich propozycji. Zrobił zakłopotaną minę.

– Propozycja to może za mocno powiedziane...

Wyjątki z diariusza Arna Dorigana

Wyjątki z diariusza Élise de La Serre

Być może lojalność Arna wobec mojego ojca nie była tak głęboka, jak twierdził. Nie, nie potrzebowałam jego pomocy.

- Nie może pan tego wiedzieć na pewno. Wzruszył nieznacznie ramionami.
- Nie, ale tak czy inaczej, uważam, że lepiej zaryzykować w ten sposób niż w twój.

Wstałam i zmierzyłam go gniewnym spojrzeniem – starca zgarbionego nad swoimi kulami.

- A więc to jest pańska rada, tak? Ułożyć się z mordercami mojego ojca.

Spojrzał na mnie, jego oczy były pełne smutku, bo oboje wiedzieliśmy, że to się może skończyć tylko w jeden sposób.

- Tak – rzekł. – To moja rada, rada twojego doradcy.
- W takim razie jest pan wolny – powiedziałam. Kiwnął głową.
- Mam odejść? Pokręciłam głową.
- Nie. Ma pan zostać. To ja wyszłam.

templariuszki, to tu powiedziano mi o pochodzeniu Arna. Teraz wyglądało jak zrujnowana nora.

– Stać cię na więcej – powiedziałam. – Wracam do Paryża. Jedziesz ze mną?

Arno się zgarbił i przez chwilę myślałam, że to koniec między nami. Tyle tajemnic zatruwało nasz związek, jak w ogóle mogliśmy być razem? Naszą miłość pokrzyżowały plany, jakie mieli wobec nas inni.

On jednak wstał, jakby podjął decyzję, i wyprostował głowę. Patrzył na mnie przekrwionymi, skacowanymi oczyma, w których jaśniała nowa determinacja.

– Nie teraz – rzekł. – Muszę najpierw zająć się La Touche'em.

Ach, Aloys La Touche. Nowy nabytek naszego – czy raczej „ich” – Zakonu, jeden z zaufanych ludzi Germaina, człowiek, który obcinał ręce i nogi żebrakom. Arno mógł go sobie zabić, nie dbałam o to.

– Czy to rzeczywiście konieczne? – spytałam. – Im dłużej zwlekamy, tym większe niebezpieczeństwo, że Germain się nam wyśliznie.

– Od miesiący trzyma Wersal pod butem. Powinienem był coś z tym zrobić już dawno. Miał słusność.

– Dobrze. Załatwię jakiś transport. Nie wpadnij w tarapaty.

Arno popatrzył na mnie, uśmiechnął się i uzupełnił moje pożegnanie:

– Nie daj się złapać.

I tak też było. Robespierre coś dukał i bredził, a kiedy jego przeciwnicy zapytali go o listę, nie umiał im sensownie odpowiedzieć.

Odeszliśmy, gdy schodził z kopca wśród wycia i gwizdów tłumu, prawdopodobnie nie rozumiejąc, jak jego święto mogło się zacząć tak dobrze, a skończyć tak fatalnie.

Ciekawa byłam, czy zdołał się domyślić działań osób trzecich. Gdyby był templariuszem, byłby do tego przyzwyczajony. Tak czy inaczej, jego upadek był już przesądzony. Musieliśmy tylko zaczekać.

27 lipca 1794

Czytam jeszcze raz ostatni wpis. „Musieliśmy tylko poczekać”.

Dobrze, fe! Niech to zaraza! Jak pewnie powiedziała by pan Weatherall. Czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

Ze szpadą w dłoni wirowałam po posadzce pustego domu w szermierczych postawach. Mimowolnie rozglądałam się za panem Weatherallem, który powinien siedzieć z kulami pod ręką, krytykować moją postawę i pracę nóg – „Przestań się popisywać, do kroćset!” – tyle że go nie było. Byłam sama. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo samotność mi nie służyła. Zaczynałam wtedy rozmyślać. Kiedy miałam za dużo czasu, pograżałam się w rozmyślaniach i rozpamiętywaniu krzywd.

W samotności zaogniałam się niczym zakażona rana. I to między innymi dlatego tak się dziś zatraciłam.

Zaczęło się od wieści, które pchnęły mnie do działania, a potem spotkania z Arnem.

Powiedziałam mu, że Robespierre został aresztowany.

– Podobno rzucał zawoalowane groźby, że przeprowadzi czystkę wśród „wrogów państwa”. Rano mają go stracić.

Oczywiście musieliśmy się z nim wcześniej spotkać, ale w więzieniu For-l'Évêque zastaliśmy pobojowisko. Wszędzie leżały trupy, pilnujących Robespierre'a wartowników zarżnięto, a on sam znikł bez śladu.

Z kąta dobiegł jęk. Arno przyklęknął pośpiesznie przy żołnierzu, opartym o ścianę, z wielką czerwoną plamą na piersi. Rozpiął mu kurtkę, znalazł ranę i zatamował krwawienie.

– Co tu się stało? – spytał.

Podeszłam bliżej, wyciągając szyję, by usłyszeć odpowiedź. Arno z całych sił starał się utrzymać żołnierza przy życiu. Przystąpiłam kałużę krwi i przysunęłam ucho do jego ust.

– Naczelnik odmówił wyprowadzenia więźniów – wycharczał konający strażnik. – Kiedy czekaliśmy na rozkazy, zaatakowały nas oddziały Konwentu. Zabrali Robespierre'a i pozostałych.

– Dokąd?!

mojego umysłu posunęła się już za daleko, by ją zatrzymać. Nie mam innego wyjścia, jak spróbować ją wyciąć i mieć nadzieję, że przeżyję tę resekcję oczyszczona.

Jeśli jednak nie przeżyję...

Tu muszę zakończyć pisanie tego dziennika, przynajmniej na dziś. Mam do napisania kilka listów.

Wyjątki z diariusza Arna Dorigana

12 września 1794

W tym miejscu powinienem chyba podjąć jej opowieść. Powinienem napisać, że kiedy spotkałem ją w świątyni następnego dnia, była blada i wymizerowana, a ja już wiem dlaczego.

Ponad sto lat temu forteca Temple du Marais została przebudowana na kształt rzymskiego Panteonu. Za łukami frontonu wznosiły się wysokie mury, zwieńczone przeróbką słynnej kopuły. Tym, co wjeżdżało i opuszczało twierdzę, były jedynie wozy z sianem, przejeżdżające przez tylną bramę.

Élise od razu chciała, byśmy się rozdzielili, ja jednak nie miałem co do tego przekonania; w jej oczach było coś dziwnego, jakby czegoś tam brakowało, jakby część jej samej była nieobecna.

I tak chyba było w istocie. Wtedy wziąłem to za determinację i skupienie, a w jej dzienniku nie znalazłem niczego, co by temu przeczyło. Élise miała mocne postanowienie dopaść Germaina, nie sądzę jednak, by uważała, że zginie – raczej że jest gotowa na śmierć, byle go zabić.

I być może pozwoliła, by ta pewność zdławiła strach, zapominając, że czasami – niezależnie od determinacji, niezależnie od umiejętności – to właśnie strach pozwala ci przeżyć.

Kiedy rozdzieliliśmy się, szukając wejścia do wnętrza świątyni, rzuciła mi wymowne spojrzenie.

– Jeśli będziesz miał szansę zabić Germaina – powiedziała – wykorzystaj ją.

Tak też zrobiłem. Znalazłem go we wnętrzu świątyni, w mroku szarych, kamiennych, zawilgłych murów, samotną postać między filarami kościoła.

Tam miałem ową sposobność.

Był dla mnie jednak zbyt szybki. Dobył oręza o niezwykłych mocach. Kiedyś wyśmiałbym coś takiego i nazwał sztuczką. Dziś oczywiście wiem, że nie należy śmiać się z rzeczy, których się nie rozumie. Germain wymachiwał dziwnie rozjarzonym ostrzem, które strzelało potężnymi wyładowaniami energii, jakby czerpiąc ją wprost z powietrza. Świeciło i sypało iskrami. Nie, w tej broni nie było zupełnie nic śmiesznego.

Przez jakiś czas nie zwracałem uwagi na kaszłącego Germaina. Potem łagodnie opuściłem głowę Élise na kamień, zamknąłem jej oczy i wstałem. Poszedłem przez zasypaną gruzem salę, tam gdzie leżał. Krew pieniała mu się na ustach; wpatrywał się we mnie, o krok od śmierci.

Uklęknąłem. Cały czas patrząc mu w oczy, wysunąłem ostrze i dokończyłem dzieła.

12 września 1794

Kiedy Germain konał, miałem wizję.

(Pozwól, że tu zrobię przerwę i wyobrażę sobie to spojrzenie z ukosa, jakie rzuciła mi Élise, słysząc o moich wizjach. Ani pełne wiary, ani zupełnie wątpliwe).

Ta wizja była inna niż poprzednie. Byłem w niej obecny w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Znalazłem się w warsztacie Germaina, patrząc, jak ubrany w stare łachy złotnik pracuje nad ozdobną szpilką.

Kiedy tak na niego patrzyłem, złapał się za skronie i zaczął do siebie mamrotać, jakby dręczyło go coś znajdującego się w jego głowie. Co to mogło być? Zastanawiałem się, kiedy nagle przestraszył mnie głos zza pleców.

– Brawo. Zabiłeś swojego arcywroga. Tak właśnie skończył się według ciebie ten moralitecik, prawda?

Wciąż wewnątrz wizji, odwróciłem się do mówiącego i ujrzałem stojącego za mną drugiego Germaina – tym razem o wiele starszego, tego, którego znałem.

– Och, tak naprawdę mnie tu nie ma – wyjaśnił – i tam też nie. W tej chwili wykrwawiam się na podłodze świątyni. Ale ojciec zrozumienia najwyraźniej uznał za stosowne dać nam chwilę na rozmowę.

Nieoczekiwanie sceneria się zmieniła i znaleźliśmy się w sekretnej krypcie pod świątynią, w której walczyliśmy, tyle że ta była nienaruszona i nie było w niej Élise. Zobaczyłem sceny z przeszłości – młodszy Germain podszedł do ołtarza, na którym rozłożone były pisma de Molaya.

– Ach – odezwał się Germain przewodnik za mną. – Mój ulubiony moment. Widzisz, nie rozumiałem nawiedzających mnie wizji. Obrazów wspaniałych złotych wież, miast lśniących bielą niczym srebro. Myślałem, że popadam w obłąd. A potem trafiłem tu – do krypty Jakuba de Molaya. I dzięki jego pismom zrozumiałem.

– Co rozumiałeś?

– Że z niewiadomego powodu łączy mnie poprzez wieki więź z wielkim mistrzem de

Molayem. Że zostałem wybrany, by oczyścić Zakon z dekadencji i zepsucia, które wdały się w niego niczym zgnilizna. By obmyć świat i przywrócić go prawdzie, zgodnie z zamierzeniem ojca zrozumienia.

Sceneria znów się zmieniła. Tym razem znalazłem się w pokoju, gdzie wysoko postawieni templariusze osądziła Germaina i wydaliła go z Zakonu.

– Prorocy rzadko są doceniani w swoich czasach – wyjaśnił zza moich pleców. – Wygnanie i poniżenie zmusiły mnie do rewizji mojej strategii, poszukania nowych ścieżek prowadzących do celu.

Tym razem zaatakowały mnie obrazy terroru, ostrze gilotyny unoszące się i opadające rytmicznie jak wahadło zegara.

– Bez względu na cenę? – spytałem.

– Nowy porządek nigdy nie nastaje bez zniszczenia starego. A jeśli ludzie nauczą się lękać niczym nieskrępowanej wolności, tym lepiej. Posmakowawszy chaosu, przypomną sobie, czemu pragną posłuszeństwa.

Widok znów się rozmył i wróciliśmy do krypty, tym razem na chwilę przed tym, jak eksplozja odebrała życie Élise. Na twarzy swojej ukochanej zobaczyłem wysiłek, jaki włożyła w rozstrzygający starcie cios; miałem nadzieję, że wiedziała, iż jej ojciec został pomszczony, i że znalazła w tym choć odrobinę ukojenia.

– Tu nasze drogi się rozchodzą – oznajmił Germain. – Pomyśl: marsz ku postępowi jest powolny, ale niepowstrzymany jak lodowiec. Dziś udało ci się jedynie odwlec to, co nieuniknione. Jedna śmierć nie zatrzyma przyływu. Może to nie moja ręka zaprowadzi ludzkość na jej miejsce, ale czyjaś zrobi to na pewno. Pomyśl o tym, wspominając ją.

Tak zrobię.

12 września 1794

W tygodniach po jej śmierci coś wciąż mnie zastanawiało: jak to możliwe, że znałem Élise lepiej niż ktokolwiek, spędziłem z nią więcej czasu niż ktokolwiek inny, i ostatecznie na nic się to nie zdało, bo w rzeczywistości w ogóle jej nie znałem?

Dziewczynę – owszem, ale nie kobietę, którą się stała. Widziałem ją, jak dorastała, ale nie miałem tak naprawdę szansy podziwiać piękna Élise w rozkwicie.

I już nigdy nie będę jej miał. Przepadła nasza wspólna przyszłość. Tęsknię za nią, ciężko mi na duchu. Opłakuję utraconą miłość, dni, które odeszły w dal, i te, które nigdy nie nadejdą.

Opłakuję Élise, bo przy wszystkich jej wadach była najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkam.

12 września 1794

Wkrótce po jej śmierci w Wersalu odwiedził nas mężczyzna nazwiskiem Ruddock.

Roztaczając wokół siebie woń perfum, z trudem maskujących wprost obezwładniający smród potu, przywiózł list opisany „OTWORZYĆ TYLKO NA WYPADEK MOJEJ ŚMIERCI”.

Pieczęć była złamana.

– Przeczytał go pan? – spytałem.

– Istotnie, proszę pana. Z ciężkim sercem postąpiłem zgodnie z instrukcją.

– Miał zostać otwarty na wypadek jej śmierci – powiedziałem, zirytowany drżeniem własnego głosu.

– Zgadza się, proszę pana. Otrzymawszy ten list, umieściłem go w komodzie, mając nadzieję nigdy więcej go nie oglądać, jeśli mam być szczery.

Popatrzyłem na niego badawczo.

– Proszę powiedzieć prawdę: czy przeczytał go pan przed jej śmiercią? Bo jeśli tak, to mógł pan jej jakoś zapobiec.

Ruddock uśmiechnął się lekko, jakby z rozbawieniem.

– Czy mogłem? Nie sądzę, panie Dorian. Żołnierze piszą takie listy przed bitwą. Sam fakt rozważań nad własną śmiertelnością o niczym nie świadczy.

Byłem przekonany, że przeczytał ten list. Przeczytał go przed jej śmiercią. Zmarszczyłem brwi, rozłożyłem kartkę i zacząłem sam czytać słowa Élise. *Ruddock, wybacz mi brak uprzejmości, ale obawiam się, że zrobiłam rachunek swoich uczuć względem Ciebie i wyznaję: nie lubię Cię zanadto. Jest mi z tego powodu przykro i rozumiem, że możesz te słowa odebrać jako nieuprzejmość, ale jeśli je czytasz, to albo zignorowałeś moje instrukcje, albo już nie żyję, a w każdym z tych wypadków żadne z nas nie powinno się kłopotać kwestiami etykiety.*

Pomimo moich uczuć wobec Ciebie doceniam Twoje próby zadośćuczynienia za swoje czyny i wzrusza mnie Twoja lojalność. Z tego właśnie powodu proszę, abyś przekazał ten list mojemu ukochanemu, Arnowi Dorianowi, samemu będącemu asasyнем; ufam, że odbierze go

jako świadectwo Twojej przemiany. Ponieważ jednak bardzo wątpię, iżby słowo nieżyjącej templariuszki wystarczyło, by przywrócić Cię do łask Bractwa, mam dla Ciebie coś jeszcze.

Arno, proszę, abys przekazał listy, o których zaraz napiszę, monsieur Ruddockowi, tak, aby mógł się nimi posłużyć w celu zdobycia przychylności asasynów, w nadziei przyjęcia z powrotem do Creda. Monsieur Ruddock będzie wiedział, że jest to dowód mojego zaufania do niego i wiary, że zadanie to zostanie wykonane raczej prędzej niż później, nie wymagając dalszego nadzoru.

Arno, dalsza część mego listu jest adresowana do Ciebie. Modłę się, bym mogła wrócić z konfrontacji z Germainem, odebrać ten list od Ruddocka, podrzeć go i nie myśleć więcej o jego treści. Jeśli jednak to czytasz, to po pierwsze, moje zaufanie do Ruddocka się opłaciło, a po drugie – nie żyję.

Mam Ci bardzo wiele do powiedzenia z za grobu i dlatego przekazuję Ci swoje pamiętniki. Ostatni z nich znajdziesz w mojej torbie, poprzednie – w skrytce wraz z listami, o których mowa. Jeśli badając zawartość kufra, dojdiesz do smutnego wniosku, że nie przechowywałam listów, które do mnie pisałeś, wiedz, że powód tego znajdziesz w moim pamiętniku. W kufrze będzie także naszyjnik, podarowany mi przez Jennifer Scott.

Następnej kartki brakowało.

– Gdzie reszta? – spytałem.

Ruddock podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Ach, tak. Druga kartka zawiera specjalną wiadomość, dotyczącą umiejscowienia listów, które według *mademoiselle* dowodzą mojego odkupienia. I, cóż, proszę wybaczyć nieuprzejmość, ale zdaje mi się, że jeśli ją panu oddam, stracę kartę przetargową, jeśli można to tak określić, a nie mam gwarancji, że nie zabierze pan po prostu listów i nie wykorzysta ich do wzmocnienia własnej pozycji w Bractwie.

Popatrzyłem na niego znacząco i machnąłem listem.

– Élise prosi, bym panu zaufał, proszę więc o to samo. Ma pan moje słowo honoru, że listy będą pańskie.

– To mi wystarczy. – Ruddock uklonił się i podał mi drugą kartkę listu. Przeczytałem ją, aż dotarłem do końca...

...teraz, oczywiście, leżę na Cimetière des Innocents razem ze swoimi rodzicami, blisko tych, których kocham.

Najbardziej ze wszystkich jednak, Arno, kocham Ciebie. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo, i że Ty też mnie kochasz. To dla mnie zaszczyt, że dzięki Tobie mogłam poznać tak spełniające uczucie.

jak przez mgłę z pałacyku, z czasów dzieciństwa. To był ktoś, kto należał do „drugiego” życia Élise, jej życia z François i Julie. Mnie wtedy w ogóle nie obchodził. Ani ja jego.

Piszę te słowa po lekturze dzienników Élise i teraz oczywiście rozumiem, jaką zajmował pozycję w jej życiu, znów się dziwiąc temu, jak mało w rzeczywistości o niej wiedziałem; po raz kolejny oplakuję straconą szansę, by poznać „prawdziwą” Élise, tę wolną od tajemnic i przeznaczenia, które musiała wypełnić. Czasami myślę, że przez brzemień, jakie dźwigała, nasza miłość od samego początku nie miała szans.

– Witaj, synu – warknął mężczyzna na ganku. – Dawno się nie widzieliśmy. Popatrz no tylko. Ledwie cię poznaję.

– Dzień dobry, panie Weatherall – odparłem, zsiadając z konia. Podszedłem i gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz, przywitałbym go po francusku – uściskałbym go, połączyłaby nas solidarność żałoby, bo byliśmy dwiema najbliższymi Élise osobami. Nie zrobiłem tego jednak, bo był dla mnie tylko postacią z przeszłości.

Wnętrze domu było urządzone prosto i bez wygód. Pan Weatherall, wspierając się na kulach, zaprosił mnie do stołu. Kazał przynieść kawę dziewczynie, którą wzięłem za Héléne. Uśmiechnąłem się do niej, a ona w odpowiedzi dygnęła.

Jej też poświęciłem mniej uwagi, niżbym to zrobił, gdybym znał treść dzienników. To były moje pierwsze kroki w głąb życia Élise i czułem się jak intruz, jak ktoś, kogo nie powinno tam być.

Jacques wszedł za nami, ukłonił się żartobliwie i pocałował Héléne na powitanie.

W kuchni panowała tętniąca życiem, niewyszukana atmosfera. Nic dziwnego, że Élise się tu podobało.

– Spodziewaliście się mnie? – spytałem, skinąwszy głową w kierunku Jacques’a. Pan Weatherall usiadł wygodnie, a potem z namysłem przytaknął.

– Élise napisała, że Arno Dorian może przyjechać po jej kufer. Potem, kilka dni temu, *madame* Levene przyniosła wiadomość, że ją zabito.

Uniosłem brew.

– Napisała do pana? I nie wzbudziło to pana podejrzeń?

– Synu, mam drewno pod pachami, ale nie myśl sobie, że w głowie tak samo.

Podejrzywałem, że jest na mnie wciąż zła, a nie że coś planuje.

– Była na pana zła?

– Pokłóciliśmy się, rozstaliśmy się w złości. Nie rozmawialiśmy ze sobą.

– Rozumiem. Sam wiem, jak to jest, kiedy Élise się na kogoś złościła. Nic przyjemnego.

martwy, zanim dotknął podłogi.

Na twarzy Weatheralla zagościł wyraz ponurej satysfakcji, jakby udało mu się w końcu rozprawić z duchem z przeszłości.

Hélène pobiegła do Jacques'a i przez chwilę tylko staliśmy, wszyscy czworo, patrzyliśmy na siebie i na nieruchome ciało Ruddocka, nie mogąc uwierzyć, że już po wszystkim i że nikt z nas nie zginął.

Później zaś, kiedy już wynieśliśmy trupa na zewnątrz, żeby go jutro pogrzebać, znalazłem swojego konia i wróciłem do pakowania juków. Poczujęm dłoni Héléne na ramieniu, obejrzałem się i spojrzałem jej w oczy, czerwone od płaczu, ale nie mniej przez to szczerze.

– Panie Dorian, chcielibyśmy, żeby pan został – powiedziała. – Może pan zająć pokój Élise.

Freddie Weatherall: angielski templariusz, protektor Élise de La Serre

Bernard Ruddock: ekskomunikowany asasyn

Honoré Gabriel Riqueti: hrabia de Mirabeau, wielki mistrz asasynów